



ŻYCIE

UNIwersYTECKIE

nr 12 (340) grudzień 2021

ŁĄCZY NAS ^{UAM}ŻYCIE
uniwersyteckie.pl



PROF. MACIEJ
MICHALSKI

**EWALUACJA
CORAZ BLIŻEJ**

s. 4



PROF. TOMASZ
GOSLAR

**DOKŁADAMY
KAMYK
NA NAUKOWEJ
ŚCIEŻCE**

s. 16



PROF. JĘDRZEJ
STĘPAK

**PRZESTRZEŃ
TOWARZYSZY MI
CAŁY CZAS**

s. 24

PROF. JERZY J. LANGER Z WYDZIAŁU CHEMII

CZY ISTNIEJE ŻYCIE POZAGRANTOWE?

s. 9



Jesteśmy i pod Akropolem

Polski Instytut Archeologiczny w Atenach (PIAA) ma już swoją siedzibę. 26 października, uroczystie zainaugurowano jego działalność, kończąc tym samym wieloletni proces powstawania instytucji, która służyć będzie wszystkim polskim badaczom dziejów Grecji, nie tylko archeologom.

PIAA jest pod względem organizacyjnym jednostką UAM – jego centrum uniwersyteckim. PIAA powstał dzięki porozumieniu z 2018 roku między UAM, Instytutem Archeologii i Etnologii PAN, Uniwersytetem Jagiellońskim, Uniwersytetem Mikołaja Kopernika, Uniwersytetami: Rzeszowskim, Warszawskim i Wrocławskim.

W uroczystym otwarciu siedziby Instytutu w Atenach wzięli udział wiceminister spraw zagranicznych RP Szymon Szynkowski vel Sęk, sekretarz generalny Ministerstwa Kultury i Sportu

Grecji Georgios Didaskalou oraz ambasador RP w Atenach Artur Lompart. UAM reprezentowali: rektorka UAM **prof. Bogumiła Kaniewska** oraz rektor poprzedniej kadencji **prof. Andrzej Lesicki** i prorektor UAM **prof. Rafał Witkowski**. – Zaczyna działać instytucja kluczowa dla polskich badań naukowych w strefie egejskiej – mówiła prof. Bogumiła Kaniewska. – Polski Instytut Archeologiczny w Atenach włączył polską naukę do ekskluzywnego grona badaczy kreujących wiedzę o kolebce naszej cywilizacji, jaką niewątpliwie jest Hellada.

W poszukiwaniu wartości

Muzeum UAM zorganizowało wystawę poświęconą prof. Edwardowi Taylorowi, twórcy poznańskiej szkoły ekonomicznej.

Ekspozycję zatytułowaną „W poszukiwaniu wartości” przygotowano z okazji wprowadzenia do obiegu przez NBP srebrnej monety o nominale 10 zł z wizerunkiem prof. Taylora, wybitej w serii „Wielcy polscy ekonomiści”.

– Prof. Edward Taylor należy do ojców założycieli naszego uniwersytetu, do profesorów, którzy przyczynili się w sposób bardzo istotny do powstania i rozwoju uczelni w Poznaniu – mówił **prof. Tadeusz Wallas**, prorektor UAM, na uroczystości otwarcia wystawy w Collegium Minus.

Prof. Edward Taylor (1884-1964) należał do grona wybitnych polskich ekonomistów. W 1919 r. zaproponowano mu stworzenie i zorganizowanie sekcji ekonomicznej na Wydziale Prawno-Ekonomicznym Uniwersytetu Poznańskiego, na którym wykładał przez całe międzywojnie, kładąc podwaliny poznańskiej szkoły ekonomicznej. Był zwolennikiem ekonomii klasycznej. Jego zainteresowania naukowe nie ograniczały się do teorii ekonomii, lecz obejmowały także naukę o pieniądzu, zagadnienia skarbowości oraz spółdzielczości. Opowiadał się za wolnością gospodarczą i własnością prywatną, a przeciw nadmiernemu etatyzmowi. Jego dorobek naukowy i publicystyczny liczy około 300 pozycji.

Ewa Konarzewska-Michalak

– PIAA reprezentuje przed władzami greckimi wszystkich naukowców polskich, nie tylko tych, którzy chcą tam prowadzić badania wykopaliskowe, ale także innych, potrzebujących dostępu do kolekcji muzealnych czy archiwów – wyjaśnia dyrektor PIAA prof. Janusz Czebreszuk z UAM i dodaje – Zgodnie z greckim prawem samodzielnie mogą prowadzić swoje badania w Grecji tylko naukowcy z tych krajów, które otworzyły swój instytut („szkołę zagraniczną”) w Atenach. Dotychczas Polacy mogli być członkami zespołów naukowych, ale bez prawa kierowania nimi.

Zadaniem PIAA jest promowanie osiągnięć naukowych i kultury polskiej w środowisku intelektualnym Aten i całej Grecji. Będzie temu służyć program naukowy i kulturalny, na który składać się mają wykłady, seminaria, wystawy, wieczory autorskie, szkoły letnie itp.

Siedziba PIAA to apartament w samym centrum Aten, z główną salą, pełniącą funkcję biblioteki, ale także przygotowaną do organizacji spotkań różnego typu. W siedzibie są też 3 pokoje gościnne dla członków PIAA jako wygodna i tania baza umożliwiająca im pracę naukową w Grecji.

Starania o utworzenie PIAA rozpoczęto już w połowie lat 90-tych ubiegłego wieku i brali w nich udział naukowcy z kilku najważniejszych polskich instytucji akademickich. Jednak dopiero w roku 2018 udało się utworzyć struktury organizacyjne, które umożliwiły powstanie PIAA. Zgodnie z porozumieniem UAM utworzył centrum uniwersyteckie pod nazwą „Polski Instytut Archeologiczny w Atenach”. Instytut przygotował aplikację do rządu greckiego o oficjalne uznanie go za instytucję zwaną w prawie greckim „zagraniczną szkołą archeologiczną w Grecji”. Taki status został przyznany PIAA przez ministra kultury i sportu Grecji w połowie 2019 roku. Jesteśmy 18. szkołą zagraniczną w Atenach. Latem 2020 roku, dzięki ścisłej współpracy z MNiSW, UAM zakupił apartament, w którym działać będzie PIAA.

Małgorzata Rybczyńska
rzecznik prasowy UAM

„AD ASTRA” KOŁEM NAUKOWYM ROKU!



Działające na naszej uczelni Zrzeszenie Studentów z Niepełnosprawnościami „Ad Astra” zostało wybrane studentckim Kołem Naukowym Roku! Wyniki zostały ogłoszone podczas Gali Nagród Środowiska Studentckiego „Pro Juvenes” w Warszawie.



ZDJĘCIE NA OKŁADCE: ADRIAN WYKROTA

WYDARZENIA

- 2 | Jesteśmy i pod Akroplem
- 2 | W poszukiwaniu wartości
- 4 | Rozmowa z prof. Maciejem Michalskim
Ewaluacja coraz bliżej
- 6 | Rozmowa z Martyną Łukasiewicz
Światło i cisza
- 8 | „Czasopisma naukowe wobec
wyzwań ewaluacji nauk społecznych”
Sto lat cenionego czasopisma
- 9 | Opinia prof. Jerzego J. Langer
Czy istnieje życie pozagradowe?

NAUKA

- 10 | StethoMe dr Honoraty Hafke-Dys
Moc kobiet
- 12 | Dr Bogna Sztorch
Najmłodsza Liderka
- 13 | Centrum Badań nad Partycypacją Kobiet
w Przestrzeni Publicznej
Walka o zmianę świadomości
- 14 | Raport z monitoringu warunków pracy
i równego traktowania na UAM
Co dziesiąta osoba na UAM doświadczyła mobbingu
- 16 | Rozmowa z prof. Tomaszem Goslarem
Dokładamy kamyk na naukowej ścieżce
- 18 | Rozmowa z prof. Agnieszką Gromkowską-Melosik
Niewidzialny koledż
- 19 | Zawód słusznej uwagi
- 20 | Czas wyjść z antropocenia
- 21 | Anna Czombik
Chemia od zawsze
- 22 | Rozmowa z Kingą Zawadą
Jak rozmowa to bez kozetki

LUDZIE UAM

- 23 | Małgorzata Nita
Z kulturą do oliwek
- 24 | Prof. Jędrzej Stępak
Przestrzeń towarzyszy mi cały czas
- 26 | Rozmowa z prof. Andrzejem Pukaczem
Najbardziej lubię rolę naukowca
- 28 | Prof. Tomasz Pędziński. One man team sport
- 30 | Przepis na sukces prof. Karoliny Rutę-Korytowskiej



Ewaluacja coraz bliżej

Z **prof. Maciejem Michalskim**, pełnomocnikiem rektora UAM

i koordynatorem prac zespołu ds. ewaluacji, rozmawia Krzysztof Smura.

Dziś (04.11) mija ostateczny termin złożenia przez pracowników oświadczenia nr 3, upoważniającego uczelnię do zgłoszenia konkretnych publikacji w procesie ewaluacji. Spodziewa się pan dużego ruchu?

Mogę tylko powiedzieć, że proces składania oświadczeń nie został jeszcze podsumowany. Zapewne jednak niektórzy pracownicy, z różnych powodów, będą się jeszcze zmagać z tym zadaniem. Można to dostrzec obserwując naszą Bazę Wiedzy UAM, która w ostatnich dniach bardzo „zwolniła”, gdyż każdy próbował coś w niej jeszcze dodać, uzupełnić... To pozytywne zjawisko – im więcej publikacji w Bazie, tym lepiej. Ponadto w ostatnich tygodniach wszyscy byliśmy mocno obciążeni dodatkowymi działaniami administracyjnymi wynikającymi z obowiązków ewaluacyjnych, a wytrzymałość związana z otrzymywaniem kolejnych maili na ten temat jest coraz mniejsza.... Warto jednak pamiętać, że jesteśmy na ostatniej prostej. To przedśionek mety. 15 stycznia zamykają się wszystkie bramki. Potem pozostanie nam czekanie. Wyniki ewaluacji poznamy w połowie przyszłego roku.

Ile dyscyplin było branych pod uwagę w procesie ewaluacyjnym UAM?

Zaczynaliśmy od 25 dyscyplin. Obecnie wiemy, że będzie ich najpewniej 23. To ogromna ilość materiału do przygotowania. W porównaniu z innymi uniwersytetami liczba dyscyplin ewaluowanych u nas należy do największych. Proces ewaluacji jest tak skonstruowany, że promuje raczej uczelnie mniejsze. Na przykład w dyscyplinie historia oceniamy

około 130 pracowników, nad którymi musimy czuwać i dopilnować odpowiedniej średniej, a są uczelnie, gdzie ta sama dyscyplina liczy 20-30 pracowników. Skala dysproporcji jest ogromna. Tam wystarczy, że 10 osób jest wybijających się. U nas, by osiągnąć tę samą średnią, takich osób musi być znacznie, znacznie więcej.

A ile osób liczy zespół do spraw ewaluacji?

Odpowiadając, trzeba podkreślić, że wynik ewaluacji zależy od wszystkich pracowników prowadzących badania naukowe. Każdy musi mieć świadomość, że i jego praca jest włączana do tego procesu. Całością steruje prorektorka **prof. Katarzyna Dziubalska-Kołaczyk**, zaś w zespole pracuje kilkanaście osób z Biblioteki Uniwersyteckiej, Biura Wsparcia Nauki, Centrum Wsparcia Projektów, Biura Radców Prawnych. Są też przedstawiciele szkół dziedzinowych, a na poziomie wydziałów najczęściej prodziekani ds. nauki. Zespół budowany był stopniowo, bo przepisy regulujące sam proces powstawały na przestrzeni kilku lat. Sam proces ewaluacji obejmuje lata 2017-2021, lecz jego ostateczny kształt poznaliśmy dopiero w lutym 2019 roku. Od samego początku w proces przygotowania uczelni do ewaluacji zaangażowany był **prof. Robert Lew** z Wydziału Anglistyki, który jest pełnomocnikiem rektora ds. ewaluacji i systemowo uporządkował i zorganizował prace całego zespołu. W tym samym czasie na UAM nastąpiła rewolucja, a więc wdrożenie systemu Omega PSiR i uruchomienie Bazy Wiedzy UAM. Obecnie, po wielu perturbacjach, można powiedzieć, że działa ona dobrze i jest to zasługa dyrektorki **Małgorzaty Rychlik** i jej

zespołu z Biblioteki Uniwersyteckiej. Dziś na każdym wydziale i w każdej dyscyplinie funkcjonuje zespół redaktorów, którzy są wyspecjalizowani w obsłudze Bazy. To osoby najczęściej jednocześnie „przypięte” do struktur bibliotecznych, a zatem obciążone innymi obowiązkami. Ich nieoceniony wkład pracy sprawia, że możemy być spokojni o pierwszą kategorię ewaluacji, związaną z raportowaniem publikacji naukowych.

Zostały dwie kategorie...

Należałoby jeszcze dodać, że do pierwszej kategorii ewaluacji wliczane są także patenty zgłoszone przez pracowników UAM. Druga kategoria to natomiast ocena skuteczności pozyskiwania grantów, czyli środków zewnętrznych i dochody z usług badawczych. Tu też mamy pewne ograniczenia. Są kategorie grantów, które są włączane do procesu ewaluacji, jak i takie, których w nim nie zobaczymy. Gromadzimy je w każdej dyscyplinie i są one punktowane w zależności od pozyskanej sumy dofinansowania. Słowem, im więcej środków się uzyska, tym więcej punktów otrzymuje dyscyplina. Tą kategorią opiekowali się **profesorowie Tomasz Stanisław Osiejuk i Jakub Kosicki** z Wydziału Biologii. Oni przygotowali grunt, a całość jest obecnie opracowywana przez Centrum Wsparcia Projektów pod kierunkiem dyrektora **Marka Fertiga**.

A trzecia kategoria? Przyznam, że jeśli łatwo zrozumieć, na czym polegają dwa pierwsze kryteria oceny, o tyle wpływu dyscypliny na środowisko zewnętrzne nijak policzyć nie umiem.

Trzecia misja działania uniwersytetu już wcześniej była obecna w procesie ewaluacji. Po raz pierwszy jednak jest rozumiana tak, jak w obecnie trwającym okresie oceny i po raz pierwszy każda dyscyplina musi przygotować opisy wpływu swojej działalności naukowej na gospodarkę i społeczeństwo. Wzorce, z których czerpało ministerstwo, działają jednak w innej rzeczywistości społecznej. W naszej uczelni przedstawiciele każdej dyscypliny przygotowywali takie opisy, które były następnie weryfikowane przez zespół kierowany przez **prof. Karolinę Cern** z Wydziału Filozoficznego. Obserwując to, co otrzymujemy jako efekt pracy zespołów dyscyplinowych oraz analizując raporty prof. Cern można powiedzieć, że zostało zrobione wszystko, co możliwe, aby opisy wpływów zostały dobrze przygotowane. Z kolei wprowadzaniem opisów do systemu informatycznego zajmie się zespół kierowany przez **dr Magdalenę Szafran**, kierowniczkę Biura Wsparcia Nauki, która ma ogromne doświadczenie wyniesione z poprzednich procesów oceny uczelni. Później – już na etapie prac ministerialnych – będą one oceniane przez zewnętrznych ekspertów.

Czy gdyby któraś z dyscyplin była zagrożona, to możemy się wycofać z jej oceny?

Nie. Według wytycznych muszą być ocenione wszystkie dyscypliny, w których liczba etatów przeliczeniowych w dniu 31

grudnia 2021 wyniesie co najmniej 12. Prof. Katarzyna Dziubalska-Kołaczyk stwierdziła jednoznacznie: nie kombinujemy, oceniamy rzetelnie, według poziomu, jaki prezentujemy. Ewaluowana jest jednostka, a tą jest Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Głęboko wierzę w to, że na naszej uczelni jest miejsce zarówno dla naukowych lokomotyw, jak i wagonów, które trzeba niekiedy pociągnąć. Nie ma sensu zakładać, że tak duża uczelnia, jaką jest poznański uniwersytet, będzie reprezentować najwyższy poziom we wszystkich dziedzinach badawczych. To jest po prostu niemożliwe. Pierwsze wnioski będziemy mogli wyciągnąć w okolicach lutego. Stanie się tak po otrzymaniu informacji o tym, jak wypadła pierwsza kategoria oceny. Jeśli uznamy, że któraś z dyscyplin została skrzywdzona, to z pewnością będziemy się odwoływać. Na tym etapie nie możemy jednak niczego nawet z grubsza szacować, choćby dlatego, że do końca procesu ewaluacji pozostało nieco czasu i wiele się może jeszcze wydarzyć.

Jak pandemia wpłynęła na ewaluację?

Po pierwsze, ewaluacja miała trwać cztery lata. Właśnie z powodu pandemii została przedłużona o rok. Przedłużenie tego okresu było z jednej strony irytujące, a z drugiej naprawdę zbawienne, choćby ze względu na ówczesny brak narzędzi systemowych do oceny jednostek. Po drugie, gdy spojrzymy na zestawienia w Bazie Wiedzy UAM, dotyczące publikacji pracowników, to rok 2019 jawi się nam jako publikacyjny pik. Z kolei w 2020 roku jest ich nieco mniej, ale nie na tyle mniej, że miałyby to niepokoić. Na tym tle gorzej wygląda obecny rok, ale – jak już mówiłem – do końca 2021 jest jeszcze trochę czasu. Zwiększenie liczby zgłaszanych do Bazy Wiedzy UAM publikacji przypada zwykle na ostatni kwartał danego roku. Pewnie będzie tak i teraz. Ta prawidłowość dotyczy szczególnie nauk humanistycznych. Gorzej, jeśli publikacja będzie nosiła datę 2021, ale ukaże się po 15 stycznia 2022 roku. To sprawi, że nie będzie się ona liczyła ani do starej ewaluacji, ani do nowej.

Czy chciałby pan jeszcze coś dodać na koniec naszej rozmowy?

W tak dużej firmie, jaką jest UAM, bardzo ważną kwestią jest sprawna wymiana informacji. Zespół zajmujący się ewaluacją korzysta z kilku kanałów komunikowania się z pracownikami. Jednym z nich jest specjalna strona założona w uczelnianym Intranecie. Dziekani ds. nauki korzystają ze specjalnego zespołu w aplikacji MStTeams, gdzie w trakcie pracy zgromadziła się ogromna liczba precyzyjnych informacji, są szkolenia, webinary... Do wszystkich pracowników docierają także komunikaty wysyłane pocztą elektroniczną. Jako zespół zajmujący się ewaluacją bardzo prosimy wszystkich Państwa o uważne śledzenie tych wiadomości. Być może nie brzmi to zbyt atrakcyjnie, ale powtórzę, że w tak dużej firmie, jaką jest UAM, sprawna komunikacja często oszczędza nam wiele pracy.



Światło i cisza

W poznańskim Muzeum Narodowym otwarto wystawę jednego z najwybitniejszych malarzy duńskich XIX wieku, Vilhelma Hammershøia. Z kuratorką wystawy, **Martyną Łukasiewicz**, która w Instytucie Historii Sztuki UAM przygotowuje rozprawę doktorską pod kierunkiem prof. Stanisława Czekalskiego, rozmawia Magda Ziółek

FOT. ARCHIWUM

Czym zajmuje się kurator?

W gestii kuratora leży wiele obowiązków, od tych merytorycznych, związanych z przygotowaniem scenariusza i katalogu wystawy, przez pozyskanie obiektów, po współpracę m.in. z działem organizacji wystaw czy edukacji, a także z aranżerami wystawy. Kurator niejako wiąże działania wielu departamentów w muzeum.

Dlaczego Hammershøi? Duńskie malarstwo nie jest zbyt popularne w Polsce?

Właśnie dlatego! Najwyższy czas na odkrycie duńskiej sztuki w Polsce i to w jej najlepszej odsłonie! Hammershøi to jeden z najważniejszych duńskich artystów przełomu XIX i XX w., a przy tym niezwykle oryginalny. Choć bezpośrednich impulsów do tej wystawy było oczywiście więcej. Z jednej strony były to działania Duńskiego Instytutu Kultury, a szczególnie dyrektorki tego Instytutu – Bogusławy Sochańskiej. W wyniku jej starań doszło do wizyty dyrektorów polskich muzeów w Galerii Narodowej Danii, uczestniczył w niej m.in. prof. Wojciech Suchocki z IHS UAM, wówczas dyrektor Muzeum Narodowego w Poznaniu. Wtedy właśnie zrodziło się marzenie o wystawie Hammershøia w Polsce. Z drugiej strony, dzięki prowadzonym przeze mnie badaniom do pracy doktor-

skiej, poświęconej muzealnictwu i sztuce duńskiego Złotego Wieku, udało mi się dość dobrze poznać zbiory kopenhaskiej Galerii Narodowej i innych muzeów, a przede wszystkim nawiązać kontakty, które na etapie organizacji wystawy okazały się bardzo cenne.

Tytuł wystawy to „Vilhelm Hammershøi. Światło i cisza”. Powie pani coś więcej na ten temat?

Tytuł wystawy to kwintesencja tego, co można odnaleźć w obrazach Hammershøia. Artysta był zafascynowany efektami światła w malarstwie. Wiemy, że często przeprowadzał się w obręb Kopenhagi, szukając nastrojowych mieszkań, które miałyby także odpowiednie oświetlenie. A potem godzinami studiował światło, utrwalając widoki wnętrz o poranku, po południu i w promieniach zachodzącego słońca. Te obrazy mają jakiś niezwykle nastrój, oddają intymność wnętrz, w których artysta żył i tworzył. W obrazach Hammershøia, niezależnie od tego, czy maluje on widok wnętrza, czy krajobraz, odnaleźć można również ciszę, skłaniającą do oderwania od codzienności i zatracenia się na chwilę w obrazie.

Podobno Hammershøi nie przepadał za wywiadami...

To był człowiek niezwykle wycofany i spokojny, który w zasadzie nie komentował swojej twórczości. Udzielił może kilku wywiadów w życiu, a na pytania odpowiadał wymijająco. W jednym z nich zapytano go np. dlaczego używa tak stonowanych kolorów, na co miał odpowiedzieć, że nie wie, nie zastanawiał się nad tym, bo zawsze takich używał. I podobnie było w wielu innych przypadkach. Nie zdradził nigdy klucza do swojego malarstwa. To, że był introwertykiem, rezonuje także w jego sztuce. Możemy domyślać się, że raczej z trudem odnajdywał się w Kopenhadze swoich czasów. W jego malarstwie ujawnia się nostalgia za przeszłością.

Które obrazy zobaczymy w Poznaniu?

Wystawy Hammershøia organizowane są na całym świecie, a o wypożyczenie jego dzieł zabiegają najlepsze muzea. Po kilku latach starań udało się jednak sprowadzić do Polski jedno z najważniejszych dzieł artysty, prawdziwe perełki. Galeria Narodowa w Kopenhadze wypożyczyła nam swoje flagowe dzieło „Pokój przy Strandgade 30 ze światłem słonecznym na podłodze”, Hirschsprung Collection wspaniałe „Wnętrze z czytającym młodym mężczyzną”, a Musée d'Orsay obraz „Młoda kobieta. Odpoczynek”. Oprócz tego na wystawie znajdą się też fenomenalne pejzaże, widoki architektury oraz obrazy, które z Hammershøiem zupełnie się nie kojarzą, czyli akty. Pokażemy także rzadko eksponowane rysunki, a dopełnieniem wystawy będzie część poświęcona warsztatowi artysty, którą udało się przygotować we współpracy z kuratorami Galerii Narodowej w Kopenhadze. Na początku tego roku rozpoczęli oni projekt badawczy poświęcony Hammershøiowi, a pierwsze wyniki badań zostaną zaprezentowane właśnie na naszej wystawie!

Złowieszca hydra inflacji

O inflacji, jej wadach i...zaletach dyskutowali [25.10] uczestnicy XXVI Debaty Akademickiej. W dalszym ciągu odbywa się ona on-line, co – jak inflacja – ma swoje zalety, bo jest dostępna bez wychodzenia z domu, ale i wady, o czym świadczył brak panelisty z UAM, prof. Jakuba Małeckiego, który nie zdołał się połączyć.

UAM reprezentowała zatem tylko **prof. Lucyna Błażejczyk-Majka**, a UEP **prof. Anna Matysek-Jędrzych** i **prof. Paweł Marszałek**. Prowadzący spotkanie dr Krzysztof Gołata zaczął od próby ustalenia, jaka inflacja jest dobra, a jaka już nie. Otóż...nikt tego nie wie. Żaden ekonomista nie podpisze się pod jakąś ustaloną wielkością – mówiła prof. Błażejczyk-Majka. Wiadomo tylko, że „dobra” inflacja powoduje racjonalne gospodarowanie pieniędzmi i pobudza gospodarkę, a „zła” – panikę, niedobory na rynku, spiralę, w której zarobki gonią ceny i w końcu to, co dzieje się w Wenezueli. Można by zatem rzec, że „dobra” inflacja to ta, nad którą się panuje i można ją wygasić, gdy staje się niebezpieczna. Prof. Matysek-Jędrzych uściśliła, że można wysnuć wskaźnik „dobrej” inflacji z celów inflacyjnych banków centralnych i byłoby to 2 – 2,5 proc. Ostrzegła, że choć mała inflacja pobudza gospodarkę, to jednak nie można jej wykorzystywać beztrudno jako narzędzia pobudzenia gospodarki, to zbyt niebezpieczne. Porównała to do jedzenia zupy widelcem: najpierw wyłowi się wprawdzie smaczne kaski, ale potem cel: zjedzenie zupy stanie się nieosiągalny. Prof. Marszałek określił się jako pesymista, który nie wierzy, że inflację można kontrolować, bo dosłownie w ciągu chwili potrafi niebotycznie wzrosnąć, a do tego wszelkie instrumenty finansowe, którymi usiłuje się ją powstrzymać, działają z pewnym opóźnieniem. Ostrzegł też, że – jak i w innych dziedzinach naszego życia – pojawiają się ostatnio błyskotliwe teorie ekonomiczne daleko odchodzące od zdroworozsądkowego podejścia, np. że dodrukowywanie pieniędzy nie szkodzi. W poszukiwaniu łatwych rozwiązań mogą one niebezpiecznie fascynować decydentów...Tak, to może kusić, bo mamy do czynienia z zupełnie nową gospodarką globalną, już nie zupełnie wolnym rynkiem i nowych ścieżek trzeba szukać, ale niektóre mogą okazać się błędne.

W wypowiedziach przeważał jednak niepokój, że nic się nie robi. To, że nowe realia wymagają nowych wizji nie jest usprawiedliwieniem dla niekompetencji czy chęci przeczekania. Decydenci muszą działać, co do tego dyskutanci byli zgodni i powinni to robić według długofalowej wizji, niekoniecznie zwracając uwagę na zdanie społeczeństwa, bo ludzie nie muszą znać się na tych zagadnieniach. A więc właśnie: mówić o inflacji, czy i jak, zwłaszcza gdy „połowa gospodarki to psychologia”, jak zauważył, cytując Ludwiga Erharda prowadzący debatę, dr Krzysztof Gołata. Zapewne mówić trzeba prawdę, analizować źródła inflacji; ważne jest też, by pierwszy mówił o niej bank centralny, a nie plotki, portale społecznościowe itd., ale

przede wszystkim należy prowadzić pracę organiczną czyli już w szkołach kłaść nacisk na wiedzę ekonomiczną. Jak wykazały badania Związku Banków Polskich, większość ludzi nie odróżnia wartości realnych i nominalnych, zaś w internecie można znaleźć portale inwestorskie, których prowadzący opowiadają takie bzdury, że nie zdaliby egzaminów na I roku – jak powiedział prof. Marszałek – ale ludzie im wierzą...

Ostrożność działania banków centralnych usiłowali nieco usprawiedliwić prof. Marszałek i prof. Matysek-Jędrzych: to lęk przed deflacją i recesją gospodarczą, bo ludzie nie lubią inflacji, ale bardziej nie lubią bezrobocia. Uważają, że z inflacją osobiście sobie jakoś poradzą, najwyżej coś drożej kupią, a z bezrobociem nie. Banki centralne są pod silną presją polityczną nie tylko u nas, ponadto w dobie gospodarki globalnej mają do czynienia z wielkimi korporacjami, które także wywierają swój nacisk. Lęk utrudnia podejmowanie decyzji, ale to jak z gorączką: lekarz musi wkroczyć i podać lek, nawet jeśli pacjent uważa, że tabletki jest niesmaczne, tymczasem u nas nie widać, by był pomysł na działanie. A gorączka rośnie.... Ciekawym aspektem było zwrócenie przez prof. Matyskę-Jędrzych i prof. Marszałka uwagi na pokolenia nie pamiętające już inflacji z końca lat 80, z czasu transformacji, pokolenia, które nie znają niedoboru towarów na rynku, tak więc nie potrafią wyobrazić sobie, jak to wygląda. Prof. Marszałek wspominał, jak kupując jako dziecko komiks w kiosku płacił za niego 200 zł, by za kilka miesięcy było to już 4 tys. Kto nie przeżył bolesnych skutków inflacji, tej „złowieszczej hydry” (prof. Marszałek) dziś może być zbyt beztrudny i pocieszać się, że... na Litwie i w Estonii inflacja jest wyższa.

Maria Rybicka

XXVI Debaty była nietypowa, bo poprzedzona wstępem, w którym prof. Andrzej Gulczyński zaprezentował monetę z wizerunkiem Edwarda Taylora i zaprosił na zorganizowaną przez Muzeum UAM wystawę poświęconą temu wybitnemu ekonomistom, który w szczególny sposób łączy UAM i UEP. Był naukowcem Uniwersytetu Poznańskiego, na który wprowadził ekonomię i stworzył ośrodek myśli ekonomicznej, co było podstawą do utworzenia samodzielnej uczelni. Może być patronem XXVI Debaty (zajmował się także inflacją), ale również wszelkich wspólnych działań UAM i UEP, a takimi są właśnie comiesięczne otwarte Debaty Akademickie, w zamyśle inicjatorów mające być dyskusjami ekspertów o ważnych problemach współczesności.



FOT. ADRIAN WYKROTA

Sto lat cenionego czasopisma

„Czasopisma naukowe wobec wyzwań ewaluacji nauk społecznych” - taki tytuł nosiła konferencja z okazji stulecia istnienia „Ruchu Prawniczego, Ekonomicznego i Socjologicznego”.

Odbędzie się ona 15 października 2021 r. na Wydziale Prawa i Administracji UAM i była zwińczeniem obchodów jubileuszu tego pisma. Inaugurując konferencję, prorektor UAM **prof. Zbyszek Melosik** podkreślał, że konieczność ewaluacji nauki nie powinna stać na przeszkodzie rozwijaniu pasji badawczej, która jest czynnikiem wyróżniającym zawód nauczyciela akademickiego. – Fakt, że poddawani jesteśmy nieustannej ewaluacji wzbudza w nas niepokój – mówił. – Często też zabiera radość uprawiania nauki. Oparte o współzawodnictwo wskaźniki statystyczne pomijają więzi społeczne, niekiedy prowadzą do depersonalizacji kontaktów. Są instrumentem pogłębiania rywalizacji i źródłem satysfakcji opartej o liczby, a nie elementem budowania społeczności naukowej i kultury koleżeńskości. „Ruch Prawniczy, Ekonomiczny i Socjologiczny” jest dla mnie synonimem znakomitego poziomu naukowego drukowanych tekstów, jak i najwyższej jakości edycji. To czasopismo prestiżowe, a prestiż ten zdefiniowany jest przez jego jakość i tradycję.

Z kolei dziekan WPIA **prof. Tomasz Nieborak** zwrócił uwagę, że istnienie RPEiS jest świadectwem wieloletniej współpracy przedstawicieli trzech nauk społecznych: prawa, ekonomii i socjologii. Redaktor naczelny RPEiS **prof. Marek Smolak**, witając zgromadzonych gości, wskazywał zaś, że konferencja ma charakter nie tylko komemoracyjny, ale poruszać ma też aktualne problemy, na jakie napotykać czasopisma naukowe. – 100-lecie naszego czasopisma zobowiązuje zarówno do patrzenia w przeszłość, jak i w przyszłość. Dlatego ta konferencja jest zarówno formą upamiętnienia i uświetnienia

czasopisma, jak również stwarza możliwość dyskusji na temat kierunków, w których powinna podążać ewaluacja nauk społecznych i czasopism naukowych – mówił.

Konferencja w programie której znalazły się m.in. wystąpienia **prof. Jerzego Brzezińskiego** i **prof. Emanuela Kulczyckiego** była okazją do namysłu nad współczesnymi wyzwaniami, związanymi z ewaluacją czasopism naukowych, a także do ogólnej refleksji nad stanem nauk społecznych w Polsce.

dr Michał Krotoszyński
Sekretarz RPEiS

RPRiS to jedno z najbardziej prestiżowych i najstarszych czasopism naukowych w Polsce. Czasopismo to od samego początku było wyrazem współpracy przedstawicieli poznańskiej nauki prawa, ekonomii i socjologii; także współcześnie wydawane jest ono na Wydziale Prawa i Administracji UAM przy współpracy z Wydziałem Socjologii UAM oraz Uniwersytetem Ekonomicznym w Poznaniu. Jego redaktorami naczelnymi byli wybitni profesorowie: Antoni Peretiatkowicz, Alfred Ohanowicz, Zbigniew Radwański, Zygmunt Ziemiński, Maciej Zieliński i Teresa Rabska. Na łamach RPEiS prace publikowali wybitni przedstawiciele nauk społecznych. Choć nie sposób wymienić wszystkich, należałoby wspomnieć o choćby niektórych z nich. W dziale prawnym teksty publikowali m.in. Czesław Znamierowski, Alfred Ohanowicz, Gustav Radbruch, Hans Kelsen, Zygmunt Ziemiński i Zbigniew Radwański. W dziale ekonomicznym swoje osiągnięcia prezentowali m.in. Edward Taylor i Zbigniew Zakrzewski, zaś w dziale socjologicznym prace zamieszczali tacy autorzy, jak Jan Stanisław Bystron, Florian Znaniecki czy Tadeusz Szczurkiewicz.



Prof. Jerzego J. Langer z Wydziału Chemii poprosiliśmy o opinię dotyczącą polityki grantowej. Jak wskazuje poniższy tekst, temat jest mocno kontrowersyjny. Tym samym chcielibyśmy zainicjować dyskusję i bardzo liczymy na Państwa opinie. Prosimy o ich nadsyłanie do końca grudnia na adres redakcja@amu.edu.pl

Czy istnieje życie pozagruntowe?

Finansowanie badań w oparciu o granty jest obecnie niemal powszechne i w zasadzie... bez zalet. Wobec niskiej efektywności wnioskowania (około 5 – 25%), trudno nazwać to finansowaniem nauki, ponieważ 75 – 95% naukowców nie uzyskuje wsparcia, a ich wnioski są porównywalnie dobre.

Znakomita większość aktywnych i ambitnych badaczy (tylko tacy decydują się na udział w konkursach grantowych) marnuje czas i energię na pisanie nikomu niepotrzebnych opracowań, ocierających się o science fiction. Wizerunek systemu próbuje się ratować wprowadzając pojęcie „prestizowych grantów”, gdy tymczasem prestiżowe mogą być wyłącznie wyniki badań – nie granty. Grant, to jedynie przydatne, lecz nie decydujące narzędzie. Decyduje wiedza, intelekt, spostrzegawczość, intuicja i odwaga naukowa.

System grantów poważnie szkodzi nauce. Z merytorycznego punktu widzenia jest skrajnie zachowawczy, nastawiony na promowanie przeszłości, o czym decydują kryteria oceny wniosków (ci, co już mają – dostają). I najważniejsze, nie można rzeczywistych odkryć (tych przełomowych, a nie przyczynkowych) zaplanować wraz z procedurami naprawczymi, ująć w harmonogram i kosztorys. Są nieznanne – z definicji.

Katastrofą wręcz jest zauważalna kryminogenność systemu. W pogoni za niezbędnym sukcesem (dla rozliczenia grantów i pozyskania nowych funduszy) dochodzi do fałszerstw wyników wstępnych eksperymentów, raportów z realizowanych badań, a nawet prac naukowych publikowanych w wiodących czasopismach, takich jak *Science*, czy *Nature*. To niekiedy 10 lat trwające procedury – część z nich została ujawniona nawet w najlepszych ośrodkach naukowych (informacje są dostępne publicznie).

Jednak podstawową wadę grantów stanowi brak ciągłości finansowania, a co za tym idzie również tematyki badawczej, skutkujący atomizacją badań. To niebezpieczna cecha, zarówno dla naukowców, jak i instytucji naukowych, która powoduje „rozmycie specjalizacyjne” przez włączanie „modnych” tematów (nie zawsze adekwatnych do istniejącego profilu badawczego), a co najważniejsze – destabilizację funkcjonowania instytucji, a także pracy i życia prywatnego pracowników naukowych (poprzez brak stabilnego dochodu i wymuszoną mobilność). Wielu utalentowanych młodych badaczy nie może podjąć lub kontynuować kariery naukowej wyłącznie z braku

finansowania. Mamy takie osoby w swoim otoczeniu. Wśród znanych przypadków, dr Katalin Karikó (pionierskie prace dotyczące zastosowań mRNA), niemal straciła pracę w latach 90-tych ubiegłego wieku, po wielokrotnych niepowodzeniach w ubieganiu się o granty. Kabaretowy wydźwięk ma z kolei koincydencja komunikatów w dniu 5 października 2009 o przyznaniu Nagrody Nobla i odrzuceniu wniosku o grant NIH w nagrodzonej tematyce (Carol W. Greider, 2009).

Tymczasem, rozwiązanie problemów wydaje się możliwe (i to natychmiast) przez odstąpienie od centralnego sterowania badaniami poszczególnych naukowców. Likwidacja indywidualnych grantów, na rzecz finansowania długoletnich, instytucjonalnych programów badawczych (w okresie przejściowym), a docelowo – przejście na stabilne finansowanie, spowoduje bezpośrednio znaczne oszczędności finansowe, ale także skokowy wzrost efektywności i jakości badań. Naukowcy wrócą do pasjonującej ich pracy, bez strat czasu i energii w pogoni za pieniędzmi. Wielu tylko dlatego wybrało ten zawód.

Korzyści z wyeliminowania systemu grantów zostały zauważone w kręgach decyzyjnych. W kilku krajach (Belgia, Izrael) podjęto konkretne działania, np. belgijski program Matuzalem z wieloletnimi grantami (do przejścia na emeryturę), czy system pełnego finansowania młodych naukowców (bez grantów) w Weizmann Institute w Izraelu. Są także rozważania nad opracowaniem systemu wsparcia „przypadkowych” odkryć (przypadkowe – to te prawdziwe, nieoczekiwane). To właściwy kierunek.

Proponuję dołączyć w decyzjach i działaniach na rzecz nauki do pionierskiej grupy, przechodząc od przestarzałego już nieco centralnego „ręcznego sterowania” szczegółowymi tematami, do rozwiązań systemowych – wyznaczania głównych kierunków badań i kształtowania profilu nauki w kraju poprzez system stabilnego finansowania. W naszych warunkach, zgodnie z naszymi potrzebami. To rola godna Narodowego Centrum Nauki. I tego życzę na następne 10-lecie.

Prof. Jerzy J. Langer

MOC kobiet

StethoMe wypływa na głębokie wody, a wraz z nim jego twórcy. **Dr Honorata Hafke-Dys** (Wydział Fizyki UAM) przyznaje, że wymaga to od niej i zespołu sporo pracy, co nie zawsze da się pogodzić z uniwersytecką karierą. Czasem trzeba przeorganizować priorytety – mówi. Sama dla projektu poświęciła dwa lata swojego naukowego życia, ale jak widać opłacało się.



Czy pandemia pomogła StethoMe rozwinąć skrzydła?

Tak, ale nie tam, gdzie przewidywaliśmy. Kiedy 2 lata temu zaczęła się pandemia, liczyliśmy, że zwiększy to zapotrzebowanie na telemedycynę, a tym samym na nasz stetoskop, zaprojektowany przecież do użytku domowego. Tymczasem, ku naszemu zdziwieniu, tak się nie stało. Rynek bardzo szybko nasycił się teleporadami. To było najprostsze rozwiązanie i dla firm telemedycznych bardzo efektywne. Niestety, nie dla pacjentów. A wracając do pytania, paradoksalnie pandemia sprawiła, że StethoMe zainteresowali się pracownicy służby zdrowia: ratownicy medyczni, lekarze na oddziałach covidowych. Podjęliśmy współpracę ze szpitalem przy ul. Szwajcarskiej w Poznaniu i przygotowaliśmy specjalny moduł, który lekarzom, „zamkniętym” w odzieży ochronnej, ułatwia przeprowadzenie bezprzewodowego badania osłuchowego.

Kiedy rozmawialiśmy ostatni raz, StethoMe był pomysłem dwójki adiunktów z Instytutu Akustyki UAM. Dzisiaj to prężnie działająca spółka.

Pomysł na StethoMe zrodził się w mojej głowie. Dużo wówczas współpracowałam z **prof. Jędrzejem Kocińskim** i łączyły nas wspólne problemy. Nasze dzieciaki często chorowały, my często chodziliśmy do lekarza, żeby je osłuchał. Pojawił się pomysł na badania dźwięków osłuchowych, pierwsza magisterka z tej tematyki – wspólnie zastanawialiśmy się nad możliwymi zastosowaniami naszych badań. Bardzo nas bolało, że na uniwersytecie takie projekty kończą się zwykle na etapie publikacji. A dzieje się to głównie dlatego, że planując badania nie myśli się o ich komercjalizacji. Urządzeń zbliżonych swoimi funkcjami do StethoMe – jest kilka, natomiast badań na ten temat całe mnóstwo. Na początku, kiedy zaczynaliśmy

realizację tego projektu, wydawało nam się, że stworzenie takiego urządzenia to będzie pikuś, bo było przecież dużo badań w tym zakresie. Okazało się, że były one mało przydatne. Dlaczego? Bo prowadzone były na zbyt małej liczbie próbek, bo pomiary robiono w sterylnych akustycznie warunkach laboratorium. To jest trochę tak, jak lubimy powtarzać u nas w firmie: każdy jest kozakiem, dopóki nie wyjdzie ze swojego laboratorium. Musieliśmy nasze badania skonfrontować z rzeczywistością – z niecierpliwym dzieckiem w czasie badania, z hałasem, jaki panuje w domu, z zaufaniem lekarzy, z całą masą prozaicznych problemów, które są kluczowe, żeby przenieść teorię w rzeczywistość.

I tak pojawił się pomysł na start-up?

Razem z prof. Kocińskim szukaliśmy sposobu, aby skomercjalizować ten pomysł. I w tamtym okresie nie było innej opcji. Projekt musieliśmy przenieść poza UAM, powołując do życia spółkę. Co prawda, cały czas współpracowaliśmy z uczelnią, ale już na własnych warunkach. Przez pierwsze dwa lata działania firmy udało mi się łączyć pracę na wydziale i działalność w StethoMe, później stało się to niemożliwe – fizycznie nie dawałam już rady. Wzięłam dwuletni bezpłatny urlop – co prawda nadal prowadziłam działalność naukową i publikowałam z afiliacją mojej Alma Mater, ale na działalność dydaktyczną po prostu nie miałam czasu. Musiałam określić priorytety. Na UAM wróciłam dopiero w tym semestrze, na część etatu. Tymczasem od dawna można zaobserwować taki trend na całym świecie. Młodym ludziom zależy, aby zajmować się tematami, które są blisko życia. Nie chcą pisać do szuflady tylko po to, aby uzyskać jakieś punkty czy tytuły. Dziś samo bycie na uczelni, czy tytuł nie robią już

na wielu młodych ludziach wrażenia. Chcą działać w dynamicznych interdyscyplinarnych, międzynarodowych zespołach i rozwiązywać ważne dla świata problemy. Potrzebują partnerskich relacji i środowiska, które będzie wspierało ich pomysły i pomagało im osiągać zamierzone cele. Wspólnie z prof. Kocińskim mieliśmy kontakt z rektorem ds. cyfryzacji i współpracy z gospodarką, z którym rozmawialiśmy na ten temat kilkakrotnie i mówiąc o swoich doświadczeniach zaoferowaliśmy swoją pomoc. Mam wrażenie, że coś powoli zaczyna się ruszać w tej sprawie. Trzymam za to kciuki.

Ile osób pracuje obecnie w spółce?

W tej chwili na stałe pracuje z nami ok. 20 osób plus współpracujący lekarze – to w sumie nie jest mało, ale jeśli pod uwagę weźmiemy tak skomplikowany produkt, jakim jest StethoMe, to ciągle za mało. Podlegamy tym samym regulacjom, co duże firmy medyczne. To jest rynek w pełni i ściśle regulowany. Każda zmiana w produkcie wymaga uruchomienia odpowiednich procedur i formalności mogą trwać nawet rok. Poza tym prowadzimy duże projekty naukowe, jesteśmy obecni na trzech rynkach, co również wiąże się z obsługą klientów, z całym tym technicznym zapleczem. Trzeba też pamiętać, że nasza firma jeszcze nie jest samowystarczalna. Musimy na bieżąco pozyskiwać inwestorów. Życie startupu to walka i olbrzymi stres na wielu polach.

Jak sama pani wspomniała, prowadzenie spółki wymaga wszechstronnej wiedzy, również tej związanej z biznesem.

Jak dzielicie się Państwo obowiązkami?

Jest na pięcioro współwłaścicieli. Podzieliliśmy się naszymi obowiązkami zgodnie z naszymi umiejętnościami. Takie założenie towarzyszyło nam od początku. Z prof. Kocińskim zajmujemy się stroną naukową projektu. Dodatkowo prof. Kociński opiekuje się też częścią regulacyjną, o czym miał zielonego pojęcia przed założeniem spółki, a teraz jest już po kilku pozytywnych audytach certyfikacyjnych. Ja natomiast dodatkowo mam pod opieką cały produkt i strategię jego rozwoju. Natomiast nasi koledzy, Wojtek Radomski, Paweł Elbanowski, Marcin Szajek, którzy są absolwentami Politechniki Poznańskiej i mają doświadczenia w prowadzeniu firmy, zajmują się częścią biznesową i zapleczem technicznym. Ten podział jest bardzo elastyczny, tak naprawdę jeszcze wszyscy musimy zajmować się wszystkim po trochu. I tak też działamy. Nie wspomniałam jeszcze o doradcach, którzy pomagają nam też w kwestiach biznesowych. Naszym doradcą jest np. Elon Ganor, izraelski przedsiębiorca i współtwórca technologii VoIP, to dzięki niemu możemy dzisiaj np. odbyć tę rozmowę. Elon ma 70 lat i na koncie trzy firmy, które udało mu się sprzedać z dużym zyskiem. Korzystamy z jego doświadczenia. Jednak w strategicznych chwilach jesteśmy zdani na siebie, sami podejmujemy decyzje. A przed nami najtrudniejszy etap, czyli pełna komercjalizacja projektu, zderzenie z prawdziwym rynkiem.

Młodym ludziom zależy, aby zajmować się tematami, które są blisko życia.

Nie chcą pisać do szuflady tylko po to, aby uzyskać jakieś punkty czy tytuły.

Czy dzisiaj, kiedy projekt odnosi tyle sukcesów, nie żałuje pani swoich decyzji?

Wtedy wydawało mi się, że była to rozsądna decyzja. Nie miałam doświadczenia biznesowego, byłam mocno osadzona w kulturze akademickiej. Myślałam, że sama nie dałabym rady. Teraz nie jest to dla mnie już takie oczywiste. Gdybym miała nowy pomysł, to nie wiem, jaką podjęłabym decyzję. Jestem bogatsza o ładnych kilka lat doświadczenia. Z drugiej strony uniwersytet nadal nie wypracował sprawdzonych metod wsparcia biznesu, transferu wiedzy do gospodarki, tworzenia spin-offów, a szkoda. Patrząc na doświadczenia naszych przyjaciół, choćby z Belgii, można się wiele nauczyć w tym względzie. Mam coraz więcej kontaktów ze środowiskiem biznesowym i inwestorskim i widzę, że to cały czas głównie męski świat. Chciałabym, żeby to się zmieniło. Wiem, że byłoby to z korzyścią dla świata. Bardzo wierzę w siłę kobiet i uważam, że powinnyśmy się nawzajem wspierać. Wokół nas jest coraz więcej kobiet, które samodzielnie prowadzą swoje projekty i robią to doskonale. Często oferując nowy, bardziej otwarty na potrzeby ludzi model przywództwa. Bardzo mnie to cieszy. Prawda jest jednak taka, że ta decyzja została już podjęta. Cieszę się, że StethoMe dostępny jest na rynku, a kto jest prezesem – to w tej chwili drugorzędna sprawa. Myślę, że z tego właśnie powodu tak mało kobiet jest na eksponowanych stanowiskach. One po prostu nie myślą w kategoriach „ja”, a bardziej zabiegają o to, aby projekt szedł do przodu. Na tym polega moc kobiet.

Ostatnimi czasami na StethoMe posypał się deszcz nagród.

Czasami mam wrażenie, że StethoMe ma w sobie magiczny magnes, który przyciąga nagrody. Mamy ich na swoim koncie ponad dwadzieścia. Jesteśmy bardzo szczęśliwi, że udało nam się w tym roku zakwalifikować do finałowej 20-tki Techcrunchu czyli takich Oskarów dla startupów. Zostaliśmy wybrani spośród 1500 firm na całym świecie. To naprawdę sukces. Ostatnio otrzymaliśmy też nominację jako jeden z 4 finalistów do nagrody za design urządzenia: European Design Award. To cieszy nas równie mocno, bo StethoMe pokazuje, że urządzenia medyczne mogą skuteczne, ale też piękne i przyjazne użytkownikowi. Zawsze, jak odwiedzam placówki medyczne, widzę jak wiele pod kątem użyteczności jest jeszcze do zrobienia.

Rozmawiała Magda Ziółek

Więcej na uniwersyteckie.pl 

Najmłodsza Liderka

Dr Bogna Sztorch jest pierwszą kobietą i zarazem najmłodszą z tych, którzy zdobyli elitarny grant Lider w Centrum Zaawansowanych Technologii UAM. Udoskonalane przez nią tworzywa termoplastyczne, wykorzystywane w technologii druku 3D, znajdą zastosowanie w przemyśle lotniczym, kosmicznym, motoryzacyjnym i wielu innych branżach.

Dla dr Bogny Sztorch możliwość tworzenia materiałów, mających praktyczne zastosowanie jest najważniejsze. – Istnieje ponad 80 milionów zarejestrowanych związków chemicznych, a tylko niewielki ułamek z nich ma swoje zastosowanie – mówi naukowni. – Uważam, że rolą chemii materiałowej jest właśnie poszukiwanie dziedzin, w których można je zastosować.

Takie podejście do nauki zaczęło się u niej kształtować po studiach magisterskich, w trakcie pracy w Poznańskim Parku Naukowo-Technologicznym. – W PPNT po raz pierwszy miałam możliwość uczestniczenia w dużych projektach badawczo-rozwojowych, współpracy z uczelniami oraz z przedsiębiorstwami. Odbylałam też staż w firmie zajmującej się związkami krzemooorganicznymi. Dzięki temu moja droga do doktoratu była bardziej dojrzała i przemysłowa, wybrałam ją świadomie – twierdzi.

W PPNT dr Sztorch poznała przyszłego mentora i promotora pracy doktorskiej **prof. Bogdana Marcinię**, ówczesnego dyrektora PPNT i twórcę Wielkopolskiego Centrum Zaawansowanych Technologii. W czasie doktoratu zaangażowała się w pracę Zespołu Hal Technologicznych CZT UAM pod kierownictwem **dr. hab. Roberta Przekopa**, gdzie poznała metody przetwarzania i charakteryzacji tworzyw sztucznych. – Jako zespół współpracujemy z czołowymi polskimi uczelniami technicznymi: Politechniką Warszawską, Akademią Górniczo-Hutniczą, Politechniką Białostocką, Politechniką Wrocławską oraz Technicznym Uniwersytetem w Chemnitz (Niemcy). – opowiada. – Prowadzimy wspólne badania, realizujemy wspólnie projekty,

uczestniczymy w targach technologicznych. To bardzo zmienia punkt widzenia i pozwala poszerzać horyzonty. Tematyka projektu powstała pod koniec doktoratu, kiedy szukałam praktycznych zastosowań dla syntezowanych przeze mnie związków krzemooorganicznych. Wtedy też zostały wykonane pierwsze testy modyfikacji polilaktydu pochodnymi krzemooorganicznymi. Wyniki były satysfakcjonujące. Uznałam, że mają one szansę znacząco poprawić właściwości materiałów.

Tak narodził się pomysł na projekt w ramach programu Lider – najbardziej prestiżowego konkursu grantowego dla młodych naukowców w Polsce. W 2019 r. dr Sztorch została najmłodszym w CZT UAM laureatem i do tego pierwszą kobietą. W ślady koleżanki z zespołu poszła **dr Anna Olejnik**, której projekt został wyróżniony w tym roku.

Projekty realizowane w ramach programu Lider są wymagające, nie koncentrują się na badaniach podstawowych, ale na ich kontynuacji – badaniach przemysłowych. Rezultat musi mieć charakter aplikacyjny, stanowić gotowy wyrób, a poziom technologiczny badań na tyle wysoki, by mogły one zakończyć się wprowadzeniem na rynek. Poziom technologiczny badań musi być na tyle wysoki, by mogły zakończyć się wprowadzeniem produktu na rynek.

Projekt dr Sztorch, o wartości 1,5 mln złotych, łączy chemię z inżynierią materiałową. Naukowni opracowuje modyfikatory tworzyw termoplastycznych na bazie związków krzemooorganicznych (sileksianów, silatranów, polisiloksanów). Tworzywa termoplastyczne są materiałami budulcowymi w technikach addytywnych FDM, popularnie

zwanych drukiem 3D. Związki krzemoorganiczne pozwalają sterować właściwościami tych materiałów.

– Celem projektu jest poprawa właściwości m.in. adhezji pomiędzy warstwami obiektów drukowanych, adhezji do stołu drukarki, hydrofobowości czy poprawy właściwości mechanicznych – wyjaśnia dr Sztorch. – Są to parametry, które w chwili obecnej stanowią największy problem w użytkowaniu drukarek 3D. Technologie addytywne są jednym z głównych filarów przemysłu 4.0 czyli fabryk przyszłości. Ich popularność wynika przede wszystkim z możliwości aplikacyjnych oraz możliwości wytwarzania struktur niespotykanych dla innych technik przetwórstwa materiałów. Prognozy analityków w zakresie druku 3D są jednoznaczne – technologie addytywne będą wyznaczały nowe kierunki rozwoju, a materiały do druku będą materiałami przyszłego przemysłu.

Obecnie multidyscyplinarny zespół dr Sztorch, w którym znajduje się siedmioro naukowców m.in. z Wydziału Chemii UAM i Wydziału Inżynierii Materiałowej Politechniki Warszawskiej zakończył etap otrzymywania modyfikowanych koncentratów modyfikator/polimer. – W projekcie wykorzystuję model badań przesiewowych. Nie skupiam się jedynie na przewidywaniach, wzięłam pod uwagę większą liczbę związków. W ten sposób łatwiej wytypować te, które spełniają oczekiwania – tłumaczy dr Sztorch.

Technologie addytywne są coraz chętniej wykorzystywane w wielu branżach ze względu na nowe możliwości kreowania struktury. Tworzywa termoplastyczne, nad którymi pracuje badaczka, znajdują zastosowanie m.in. w medycynie, w przemyśle kosmicznym, lotniczym, motoryzacyjnym, sportowym. Mogą być potrzebne też tam, gdzie nie ma moż-

liwości szybkiego zaopatrzenia w części zamienne np. na platformach wiertniczych, statkach, w stacjach badawczych.

Badania prowadzone przez dr Sztorch owocują wieloma publikacjami naukowymi. W tym roku za swój dorobek badaczka otrzymała Nagrodę Naukową Rektorki UAM. Naukowszczyń uważa, że technologie druku 3D, wykorzystywane coraz częściej w edukacji, przyczynią się do wykształcenia technologicznego myślenia u młodych ludzi. W przyszłości to oni będą wykorzystywać nowe technologie do rozwiązywania wielu problemów.

– Mając na uwadze, jak duże znaczenie dla współczesnego świata ma technologia polimerów, we współpracy z dr. hab. Robertem Przekopem opracowaliśmy nowy przedmiot: przetwórstwo tworzyw sztucznych i materiałów kompozytowych dla studentów Wydziału Chemii. Przedmiot ten ma, przy wykorzystaniu unikatowej infrastruktury CZT, umożliwić kształcenie studentów w praktycznym wykorzystaniu nowoczesnej chemii polimerów i kompozytów.

Dr Sztorch jest jedną z niewielu naukowczyń na UAM, które zdobyły grant w ramach programu LIDER. Jej zdaniem, kobiety ze względu na swoją precyzję świetnie odnajdują się w laboratoriach badawczych, udowodniły też, że potrafią kierować zespołami na równi z mężczyznami. – Być może nie jest jeszcze popularne, aby kobiety kierowały projektami aplikacyjnymi bądź nastawionymi na współpracę z przemysłem, dlatego staram się zaszczepić w swoich uczennicach nieszlakowane myślenie i umiejętność łączenia wiedzy chemicznej z technologią w celu tworzenia nowych rozwiązań w obszarze nowoczesnych materiałów - podsumowuje chemiczka oraz inżynierka materiałowa.

Ewa Konarzewska-Michalak

Walka o zmianę świadomości

Centrum Badań nad Partycypacją Kobiet w Przestrzeni Publicznej zainaugurowało działalność na Wydziale Nauk Politycznych i Dziennikarstwa. Nową jednostką kieruje prof. Iwetta Andruszkiewicz.

Centrum powołano dzięki staraniom zespołu pracowników WNPID przy wsparciu organizacji biznesowych, fundacji i stowarzyszeń.

Na inauguracji **prof. Bogumiła Kaniewska**, rektor UAM, podkreśliła, że kobiety zdobędą równe mężczyznom prawa, kiedy zmieni się świadomość i mentalność ludzi, co jest długotrwałym procesem. Tej zmianie służyły działania podjęte w ramach projektu Gdy nauka jest kobietą. Obejmowały one odnajdywanie historii kobiet, które uczestniczyły w powstaniu Uniwersytetu Poznańskiego oraz diagnozowanie problemów, które dziś mają kobiety pracujące i studiujące na uczelni.

– To diagnozowanie trwa do dzisiaj: za moment ukażą się wyniki kolejnej ankiety przeprowadzonej przez zespół **prof. Grażyny Gajewskiej**, ruszymy też z akcją ankietowania w sprawie molestowania seksualnego na uniwersytecie. Wszystko po to, żeby zdobyć wiedzę. W całym tym krajobrazie Centrum jest niezwykle ważnym elementem. Prowadzone w nim badania naukowe dadzą podstawy merytoryczne do dalszych działań – powiedziała prof. Kaniewska.

Na pytanie, jakie będzie nowe Centrum, odpowiedziała prof. Iwetta Andruszkiewicz: – Chcielibyśmy współpracować z podmiotami krajowymi i międzynarodowymi. Ta kooperacja ma dotyczyć wspólnych przedsięwzięć, współpracy ludzi, nauki i otoczenia. Jesteśmy i będziemy jednostką interdyscyplinarną, która skupia politologów, ekonomistów, prawników, historyków, antropologów, filologów, kulturoznawców i przedstawicieli wielu innych nauk.

Ewa Konarzewska-Michalak



FOT. ADRIAN WYKOTA

Zespół monitoringu warunków pracy i równego traktowania na UAM. Od lewej: Maciej Kokociński, Katarzyna Wala, Iwona Chmura-Rutkowska, Grażyna Gajewska, Edyta Głowacka-Sobiech

Co dziesiąta osoba na UAM doświadczyła mobbingu

Raport z monitoringu warunków pracy i równego traktowania na UAM jest już gotowy.

Poniżej prezentujemy wypowiedzi jego twórców.

Grażyna Gajewska: Zaczęło się od małego projektu, który złożyłam na konkurs do La Fondation Paris-Dauphine w 2019 r. Był to projekt badania czynników wpływających na ścieżki karier naukowych kobiet i mężczyzn w naukach ścisłych na UAM. W trakcie realizacji grantu stwierdziłam, że jest to dobry punkt wyjścia do szerszych badań warunków pracy, bezpieczeństwa i kwestii równościowych na wszystkich wydziałach. Mam to szczęście, że zespół, który rozpoczął ze mną badania w tym pierwszym grantie, odniósł się entuzjastycznie do pomysłu i wkrótce przedstawiliśmy go rektorom partycypującym w projekcie „Gdy nauka jest kobietą”, zyskując ich pełną akceptację. Warto podkreślić, że nasze badania wpisują się w międzynarodową perspektywę. Ponieważ należę do społeczności zrzeszającej badaczy i badaczki działające na rzecz „Gender Equality in Central and Eastern Europe”, mogliśmy skorzystać z wspólnie wypracowanego w tym projekcie formularza ankiety. Tym samym wyniki naszych dociekań mogą być porównywane z badaniami innych ośrodków w Polsce (np. z Uniwersytetów: Warszawskiego, Jagiellońskiego, Wro-

clawskiego, Gdańskiego, Łódzkiego), jak i spoza naszego kraju (np. z Uniwersytetu Wileńskiego, Wyższej Szkoły Rzemiosła Artystycznego w Pradze, Uniwersytetu Frederick w Limassol, Litewskiego Centrum Nauk Społecznych w Wilnie, Czerniowieckiego Uniwersytetu Narodowego im. Jurija Fedkowycza). Obydwa raporty: ten z UAM i podsumowujący wyniki badań z wszystkich uniwersytetów i ośrodków badawczych, biorących udział w badaniach ankietowych, ukażą się mniej więcej w tym samym czasie. Analizując strukturę zatrudnienia widać, że na UAM istnieje stosunkowo wyrównana reprezentacja płci wśród zatrudnionych nauczycieli akademickich: 1441 kobiet (48,6%) i 1526 mężczyzn (51,4%). Różnice uwidaczniają się przy analizie udziału zatrudnienia kobiet i mężczyzn na poszczególnych wydziałach i z uwzględnieniem stanowiska oraz tytułu naukowego. Mężczyźni przeważają liczebnie na wszystkich stanowiskach profesorskich, przy czym największa dysproporcja płci na korzyść mężczyzn dotyczy tytułu profesora zwyczajnego – kobiet z tym tytułem zatrudnionych na UAM jest niespełna 25%.

Katarzyna Wala: Analiza biografii naszych respondentów i respondentek wykazała, że zawód naukowca jest postrzegany w kategoriach misji i samorozwoju. Co czwarty badany mężczyzna rozpoczął studia z myślą o zostaniu naukowcem. W przypadku kobiet zaledwie co ósma kobieta miała taki plan. Mężczyźni dwa razy częściej niż kobiety planują karierę naukową już na etapie studiów, a w ubieganiu się o awans zawodowy częściej mogą liczyć na pomoc i motywację ze strony innych osób. Z kolei kobiety podkreślają przede wszystkim motywowanie samej siebie do zdobywania kolejnych stopni naukowych. W tym kontekście widać, jak ważna jest rola uczelni w popularyzowaniu wizerunku naukowca jako zawodu dla obu płci. Wyniki badań jednoznacznie wykazały, że system i rozwiązania formalne są dyskryminujące dla kobiet, które zdecydowały się na macierzyństwo. System nie uwzględnia różnic biologicznych płci, nakładając na kobiety, które ze względu na ciążę, połóg, opiekę nad małym dzieckiem na pewien czas muszą zawiesić lub ograniczyć prace badawcze, takie same obowiązki zawodowe i restrykcje czasowe, jak dla mężczyzn. Z powodu obciążeń związanych z opieką nad osobami zależnymi kobiety ponoszą szczególne koszty.

Edyta Głowacka-Sobiech: Analizowałam w projekcie dwa moduły: „warunki pracy – rekrutacja i awanse” oraz „kultura organizacji i środowisko pracy – równość płci”. Rezultaty tych badań nie zaskoczyły mnie. Wyniki dowodzą jasno, że kobiety i mężczyźni różnią się w ocenie skali występowania nierówności związanych z płcią – pracowniczki mniej pozytywnie niż pracownicy oceniają wymiar równego traktowania na uczelni oraz częściej niż mężczyźni są krytyczne wobec twierdzenia, że UAM angażuje się w promowanie równości płci. Badania dowiodły równocześnie, że kobiety rzadziej niż mężczyźni piastują funkcje kierownicze, rzadziej są recenzentkami krajowych i zagranicznych czasopism naukowych, rzadziej także kierują grantami i trudniej im awansować. Istotny jest również wniosek, że zdaniem respondentek, czynnikiem wpływającym na awans zawodowy kobiet jest stopień dostępu do nieformalnych relacji społecznych i kręgów wpływów, krótko mówiąc, chodzi o tzw. znajomości, przez które procedury awansu i warunki pracy nie zawsze są transparentne i przyjazne. To jeden z powodów, dla których mężczyźni wykazują się większą niż kobiety pewnością siebie i wiarą we własne możliwości, kompetencje oraz atrakcyjność na rynku pracy.

Maciej Kokociński: Wnioskiem, na który chciałbym zwrócić uwagę, jest zjawisko opisane przez Pierra Bourdieu, nazwane konwersją kapitałów. Myślę tutaj o dwóch ich rodzajach; kapitale społecznym i symbolicznym. Kapitał społeczny to sieć kontaktów pomiędzy ludźmi, a kapitał symboliczny to umiejętność jego konwersji na wymierne efekty. Można zatem powiedzieć, że na poziomie płci istnieje różnica zarówno w „ilości” kontaktów społecznych wśród

pracowników UAM, jak i ich „jakości”. Kobiety mają ich relatywnie mniej. Chodzi tutaj nie tylko o czas, który kobiety przeznaczają na opiekę nad dziećmi czy innymi członkami rodzin, ale o kulturowo zdefiniowaną normę. Niższy poziom kontaktów społecznych determinuje niższą wartość posiadanego kapitału symbolicznego. W tym kontekście kapitał symboliczny rozumiemy jako zdolność do materializowania kapitału społecznego poprzez np. punkty oceny pracownika, certyfikaty, nagrody, udział w redakcjach czasopism naukowych itp. Inną kwestią, na którą warto zwrócić uwagę, są mobbing i mikroagresje, które na UAM mogą występować w charakterze ciągłym lub punktowym. Mobbing (wbrew jego prawnej definicji) przejawia się często tylko w pewnych okresach. Dzieje się tak np. w momencie awansu pracownika, czyli w istotnym momencie kariery naukowej. Pojawienie się mobbingu punkowego jest bardzo trudne do szybkiego, systemowego wykrycia i ewentualnej reakcji.

Iwona Chmura-Rutkowska: Z analiz wynika, że co dziesiąta badana osoba doświadczyła na UAM mobbingu, molestowania lub molestowania seksualnego, przy czym wyraźnie częściej z tego typu naruszeniami mierzą się kobiety. Osoby badane relacjonowały takie zachowania i sytuacje jak: przypisywanie stanowisk niższej rangi, traktowanie jak osobę drugiej kategorii, niedocenywanie wkładu pracy, uprzedzenia co do inteligencji i zdolności, wyśmiewanie i poniżanie na forum, ignorowanie, zastraszanie i szantażowanie, podważanie zaufania, grożenie, tworzenie wrogiej atmosfery, bezprawne dopisywanie swego autorstwa, naruszanie przestrzeni osobistej, wypowiedzi dyskredytujące związane z wyglądem lub o seksualnym podtekście. Niepokojąca w tej sytuacji jest niska gotowość i obawa przed zgłaszaniem naruszeń (szczególnie wśród kobiet), natomiast preferowanym adresem zgłaszania takich sytuacji okazały się osoby przełożone oraz komisja ds. równości (lub podobne ciało kolegialne). Z perspektywy osoby zajmującej się tą problematyką widzę potrzebę pogłębienia diagnozy i rozszerzenia jej na całą społeczność UAM, zarówno na wszystkie grupy pracownicze, jak i osoby studiuje. Rezultaty pozwolą zaprojektować adekwatną do potrzeb różnych osób na UAM, bezpieczną i etyczną procedurę zgłaszania, interweniowania i procedowania spraw o charakterze przemocowym oraz udzielania pomocy pokrzywdzonym. Bardzo potrzebne są także działania profilaktyczne, zwiększające świadomość oraz wrażliwość społeczną i gotowość do reagowania.

Grażyna Gajewska: Badania sondażowe zostały przeprowadzone na przełomie lutego i marca 2021 roku. Próba badawcza wyniosła 635 osób, w tym 42% mężczyzn i 58% kobiet, Pełna wersja raportu zostanie udostępniona w Intranecie UAM. Wyniki badań posłużą przygotowaniu Gender Equality Plan na UAM pod logiem HR Excellence in Research.

Wypowiedzi zebrała: Katarzyna Wala



Dokładamy kamyk na naukowej ścieżce

Liczby, liczby, liczby. 140 tysięcy analiz, 120 tysięcy datowań, 50 próbek dziennie, 10 tysięcy w roku. Dziewięcioosobowy zespół. Teraz do tego zestawienia doszła kolejna liczba. 20 lat pracy Poznańskiego Laboratorium Radiowęglowego, którego szefem od początku jest **prof. Tomasz Goslar**.

Wie pan, że jest taka seria filmów na stronie UAM zatytułowana „Wybitne postacie uniwersytetu”? – pyta profesor.

Tak.

Ale, czy wie pan również, że jestem ostatnim bohaterem tej serii?

Nie wiedziałem...

Przypuszczam, że po zmianie rektorów, profesor Lesicki wstrzymał kolejne odcinki z powodu mojego występu artystycznego pod hasłem „gra na pianinie”. Proszę tego nie słuchać...

Profesor Tomasz Goslar to firma sama w sobie. Laureat „polskiego Nobla”, publikujący w najpoważniejszych wydawnictwach naukowych, w tym *Nature*. Od 20 lat prowadzi Poznańskie Laboratorium Radiowęglowe. Dodajmy, że z sukcesami. Nadal publikuje w najważniejszych czasopi-

smach. Tylko w tym roku za trzy publikacje otrzymał po 200 punktów.

– Do tej pory zawsze podpisywałem się nazwiskiem i afiliacją na Wydziale Fizyki, z którym byłem związany od lat. To się skończyło – mówi. – Zgodnie z ustawą 2.0 musiałem zdecydować o dyscyplinie naukowej. Wybrałem nauki o Ziemi i środowisku (w uniwersytecie) i archeologię (w Fundacji UAM) – dyscypliny, do których przypisano znakomitą większość czasopism z moimi artykułami. A teraz pod swoje skrzydła przyjął mnie Wydział Nauk Geograficznych i Geologicznych.

Naukowa ścieżka prof. Tomasza Goslara zaczęła się gdzieś w okolicach jeziora Gościąż. To był zapalnik, który zaważył na jego dalszej karierze naukowej. Osady z dna tego jeziora były materiałem nadającym się do pomiarów radiowęglowych, które miały znaczenie dla światowej nauki. Udowodniono to w kolejnych publikacjach w *Nature*.

– W latach 90. wobec niemożliwości dokonania pomiarów w Gliwicach, gdzie wówczas pracowałem, pojechałem do Francji – wspomina profesor. – Gdyby nie to jezioro, to z akceleratorową techniką pomiaru szybko bym się nie zetknął i nie byłoby tak zwanego ciągu dalszego. Pomogła też dendrochronologia, którą zajmowałem się w pracy doktorskiej, obrazując przyrosty roczne najstarszego znalezionego w Polsce pnia dębu. A trzeba zauważyć, że przyrosty roczne osadów w jeziorze Gościąg były tak regularne jak wspomnianego pnia. To była rewelacja na skalę światową. Dziś, pracując w awangardzie nauk o Ziemi i archeologii, odczuwam z tego powodu wielką satysfakcję. Powodem do niej jest także fakt, że nasze laboratorium wpisuje się doskonale w przykład synergii nauki i przedsiębiorczości. Stanowi podstawowy element utrzymania Poznańskiego Parku Naukowo-Technologicznego, a przy okazji przynosi też dochody naszej uczelni. Dodam, że dochody inne niż dotacje.

W 2001 roku, już po bardzo znaczących publikacjach w *Nature*, profesor przyjechał do Poznania na zaproszenie prof. Bogdana Marcińca, ówczesnego dyrektora PPNT. Na pytanie, czym skusił go Poznań i jak koledzy z laboratorium w Gliwicach przyjęli jego wyjazd, mówi:

– To był istotny przełom w moim życiu. Z całą rodziną musieliśmy zdecydować o przenosinach. Ważne było też to, że pracując w Gliwicach byłem zaznajomiony z techniką datowania, a nie miałem do czynienia z takim spektrometrem, jaki oferowano do pracy w Poznaniu. Byłem natomiast przygotowany do preparowania próbek do pomiarów. Co więcej, potrafiłem już wówczas zbudować odpowiednią do tego aparaturę. Spektrometr skusił, bo trzeba wiedzieć, że wówczas na świecie oprócz urządzenia w stanie Georgia (USA), tylko Poznań miał szansę je pozyskać. A koledzy? No cóż. Zrozumieli, że to była szansa na rozwój. Wiele lat później miałem okazję im podziękować, gdy odbierałem „polskiego Nobla”. Dziś jestem wdzięczny przede wszystkim profesorowi Mieczysławowi Pazdurowi z laboratorium w Gliwicach, który już w 1993 roku, po mojej wizycie we Francji, powiedział wprost: „Twoje miejsce jest przy akceleratorze”. Dla mnie był to wówczas kosmos. Potem poparła mnie też prof. Anna Pazdur, która kierowała gliwickim labem. I tak, po przenosinach, w Poznaniu powstało laboratorium, w którym całą część do przygotowania próbek tworzyliśmy sami. Od podstaw. Od początku w pracy – oprócz wspomnianej rodziny (żona Ewa – przyp. red.) – pomaga mi również **dr Justyna Czernik**, która także wybrała Poznań.

Z technicznego punktu widzenia datowanie metodą radiowęglową może sięgać 50 tysięcy lat wstecz. Skąd ta liczba? Jak wyjaśnia poznański naukowiec, po 5,7 tysiąca lat liczba atomów radioaktywnego węgla maleje o połowę. Po 50 tysiącach lat pozostaje ich już tylko 1/1000. To tak mała ilość, że odróżnienie jej od tzw. tła spektrometru staje się niemożliwe. Jeśli więc mamy próbkę, która ma 40 tysięcy lat, to wynik datowania wynosi 40 tysięcy plus/minus 4 tysiące lat. A przy

45 tysiącach to minus osiem tysięcy, a plus nieskończoność, bo nie mamy tutaj zależności liniowej.

Całkiem niedawno zespół prof. Tomasza Goslara uczestniczył w badaniach warstw osadniczych z Gieczy, Gniezna i Poznania. Datowań próbek z przełomu I i II tysiąclecia było około 200. Jedno datowanie daje wyniki plus/minus 50 do 100 lat. To mało precyzyjne, bo jeśli zajmujemy się datowaniem na przestrzeni np. dwóch wieków, to trudno tu mówić o dokładności. Stąd potrzeba większej liczby badań i konieczność złożonej analizy całego zespołu wyników. To zbliża naukowców do faktycznej daty badanej warstwy, przedmiotu czy kości.

– Korzystamy z twierdzenia Bayesa dotyczącego rachunku prawdopodobieństwa i daje to świetne rezultaty – mówi prof. Goslar. – Wynik zbliża nas do błędu plus/minus dziesięć lat. Jestem z tego dumny.

Profesor nie ukrywa też powodu do dumy związanego z datowaniem palatium na Ostrowie Lednickim. Badania przeprowadzono, korzystając z części podziemnego fundamentu, w którym w zaprawie odkryto drobiny węgla.

– Jeszcze do niedawna określone były jedynie trzy daty radiowęglowe wskazujące na wiek XI jako chwilę „narodzin” palatium. Kilkadziesiąt przebadanych próbek przesunęło tę granicę na połowę X wieku – cieszy się profesor. – Tym samym Lednica musi być poważnie brana pod uwagę, jeśli chodzi o miejsce chrztu Polski.

Profesor Tomasz Goslar konkurencji raczej się nie obawia. Sprzęt jest wyjątkowy. Dość powiedzieć, że w Polsce do tej pory tylko Poznań dysponuje akceleratorowymi spektrometrami mas (AMS), a zamówienia na datowania przychodzą obecnie z ponad 70 krajów świata. Główni odbiorcy wyników badań to Duńczycy, Niemcy, Polacy i Francuzi. Koszt badania jednej próbki to około 1300 złotych.

– Słyszę, że niebawem w Gliwicach oraz Krakowie ruszą nowoczesne spektrometry. Wielkiego postępu w konstrukcji samego urządzenia raczej nie zauważam. Może jedynie to, że inaczej jest skonstruowano źródło jonów, które jest ważne w początkowej fazie datowania – dodaje profesor. – My przez te lata znacząco zmniejszyliśmy czas otrzymywania wyników (z 22 do 12 godzin – przyp. red.). Skróceniu uległy także zabiegi techniczne, związane z czyszczeniem urządzenia. Kiedyś przeglądy musiały się odbywać co dwa tygodnie. Dziś to około 90 dni. Co więcej, w najnowszych spektrometrach osiągi są podobne i długość pomiarów również. Słowem, w niczym im nie ustępujemy.

Szef Laboratorium Radiowęglowego na pytanie o to, czy razem z zespołem śledzą wyniki badań, które zmieniają np. historię Polski, odpowiada, że to mały kamyczek na naukowej drodze, którą wspierają badania interdyscyplinarne. – Cieszę się, że na tej ścieżce my również dokładamy swój kamyczek – dodaje.

Krzysztof Smura

Więcej na uniwersyteckie.pl 



FOT. ADRIAN WYKROTA

Niewidzialny koledź

Z **prof. Agnieszką Gromkowską-Melosik**, pomysłodawczynią i przewodniczącą komitetów: naukowego i organizacyjnego II International Summer School: Scientific excellence - origins, research, results, rozmawia Ewa Konarzewska-Michalak.

Międzynarodowa Letnia Szkoła odbyła się po raz drugi. Co stanowi o wyjątkowości tego projektu?

Przed wszystkim fakt, że szkoła stanowi wyraz pasji i zaangażowania dwóch grup: profesorów i doktorantów. To oni wspólnie kreują niepowtarzalny klimat integracji i naukowości. Poza tym, jest to szkoła interdyscyplinarna i to nie tylko dlatego, że organizują ją dwa wydziały – Wydział Studiów Edukacyjnych i Wydział Nauk Politycznych i Dziennikarstwa, ale z uwagi na czynny udział doktorantów z całej Szkoły Nauk Społecznych, również z takich dyscyplin jak: prawo, geografia społeczna, psychologia, socjologia. Z kolei wśród wykładowców mieliśmy ekonomistów, prawników, socjologów, psychologów, lingwistów zarówno z Europy, jak i ze

Stanów Zjednoczonych, Kolumbii i Tajwanu. Kolejną wartością jest to, że tworzymy wspólną akademicką niezwiązaną bezpośrednio z hierarchią uniwersytecką, tak zwany niewidzialny koledź, który łączy ludzi niezależnie od wieku, prestiżu, posiadanego stopnia i tytułu naukowego, ponad granicami instytucji. I to nam się udało. Już w zeszłym roku nawiązały się silne relacje między wykładowcami a doktorantami, które trwają do dziś. Bardzo miło było czytać na forach doktoranckich, a także słyszeć podczas oceny śródrocznej czy konferencjach, jak doktoranci odwoływali się do szkoły, do tego, co zmieniła w ich myśleniu. To jest bardzo duża wartość.

Jak doktoranci oceniają szkołę?

Wyniki ostatniej ewaluacji są bardzo pozytywne. Doktoranci najbardziej docenili elastyczny program szkoły, obejmujący wiele aktywności, nie tylko wykłady, ale także konsultacje z profesorami, panele dyskusyjne, możliwość własnych wystąpień, warsztaty. Doceniono różnorodność problematyki. Szkoła z założenia jest poświęcona metodologii i teorii, ale nie w wąskim tego słowa znaczeniu. Oprócz tego profesorowie pokazują swój warsztat, to, w jaki sposób rozwiązują problemy, z jakich metod korzystają. Doktoranci żałowali jedynie, że jedno wydarzenie następuje zaraz po drugim i brakuje czasu, by móc wziąć udział we wszystkich zajęciach. Po raz drugi musieliśmy zrezygnować z formy stacjonarnej na korzyść online i przenieść szkołę z czerwca na październik. Takie rozwiązanie ma swoje plusy i minusy. W ubiegłym roku doktorantom było przykro, że nie będzie realnych spotkań, networkingu czyli tego, co jest najbardziej wartościowe w spotkaniach na żywo. Natomiast w tym roku forma wirtualna była już postrzegana jako bardzo komfortowa, z uwagi na to, że można dzięki niej swobodniej przemieszczać się ze spotkania na spotkanie.

Czy powstanie kolejna edycja?

Zdecydowanie. Chciałabym ją zorganizować. W grudniu złożę aplikację o grant i mam nadzieję, że otrzymamy finansowanie. Miłe jest to, że profesorowie chcą przyjeżdżać i jest entuzjazm ze strony doktorantów oraz organizatorów. Trzecią edycję planujemy – już stacjonarnie! – na ostatni tydzień czerwca w Poznaniu. Zobaczymy, czy to się uda. Jeśli nie wszyscy profesorowie będą mogli przyjechać z uwagi na ograniczenia związane z pandemią, zdecydujemy się na formę hybrydową.

Chciałabym podkreślić, że ostateczny sukces szkoły jest rezultatem współpracy całego zespołu: **dr Anny Sakson-Boulet, prof. Pauliny Pospiesznej, dr. Bartosza Hordeckiego, prof. Tomasza R. Szymczyńskiego, prof. Michała Klichowskiego, Krzysztofa Bytowa i Marzeny Wodzińskiej** oraz wsparcia **prof. Bogumiły Kaniewskiej**, rektora UAM oraz prorektorów: **prof. Przemysława Wojtaszka** oraz **prof. Zbyszka Melosika**, a także dziekanów WSE i WNPiD. Oczywiście jak zawsze w takich inicjatywach najważniejsze są entuzjazm i pasja doktorantów.

Zawód słusznej uwagi

Protetyka słuchu jako profil studiów narodziła się na UAM w 1992 roku z inicjatywy prof. Edwarda Hojana. Od kilku lat trwają prace nad projektem ustawy, która zawód protetyka słuchu włączy na listę zawodów medycznych. O taki zapis prawny usilnie zabiega środowisko skupione wokół Polskiego Stowarzyszenia Protetyków Słuchu.



FOT. ADRIAN WYKROTA

Obecnie sprzedaż aparatów słuchowych nie jest uregulowana prawnie, a niedrogie modele dostępne są nawet w markecie. To nie tylko wprowadza w błąd pacjentów, ale również stwarza nieuczciwą konkurencję. Tymczasem, jak przekonuje **prof. Roman Gołębiewski**, prezes PSPS, kierownik Katedry Akustyki i dziekan Wydziału Fizyki, dobór aparatu słuchowego wymaga specjalistycznej wiedzy i odpowiedniego przygotowania. Spotykamy się przy okazji sympozjum Polskiego Stowarzyszenia Protetyków Słuchu.

- Zanim powstał nowy profil studiów zastanawiano się: jak nazwać ten nowy zawód? W ówczesnym Radiu Merkury został ogłoszony konkurs na nazwę – mówi prof. Roman Gołębiewski. - Zgłoszone propozycje to m.in.: ucholog, audiolog, protetyk słuchu. Z pomocą przyszli językoznawcy z naszego uniwersytetu, którzy zadecydowali, że powinien to być „protetyk słuchu”. Program studiów na naszym kierunku jest ciągle uaktualniany, by uwzględnić potrzeby rynku pracy. W roku 2000 rozszerzyliśmy program o zagadnienia związane z ochroną przed hałasem. Jesteśmy, jako Katedra Akustyki, autorami pierwszego programu studiów. W pewnym sensie wyznaczamy standardy dla innych ośrodków akademickich. W październiku odbył się XXV Kongres Polskiego Stowarzyszenia Protetyków Słuchu, który równocześnie był okazją do świętowania 25-lecia PSPS.

Według prof. Gołębiewskiego problemy ze słuchem, jak wynika z opracowań, mogą w Polsce dotyczyć od kilku do nawet kilkunastu procent społeczeństwa. - A i tak myślę, że jest to wierzchołek góry lodowej, bo spora część niedosłyszących wstydzi się do tego przyznać – uważa nasz rozmówca. - Często też ludzie są nieświadomi, że cierpią na niedosłuch. A jeśli tego nie wiedzą, to też nie poproszą o pomoc. Bardzo często osobom starszym brakuje motywacji do założenia aparatu słuchowego i twierdzą: po co mi aparat słuchowy, skoro ja i tak za 2 lata umrę. Niestety, z biegiem czasu nasz układ słuchowy staje się mniej efektywny. Mówiąc obrazowo, w uchu mamy części me-

chaniczne, które w miarę upływu lat zużywają się. Wiele osób nie chce się z tym pogodzić. To tak jak w przypadku zmarszczek czy siwiejących włosów: mamy problem, aby to zaakceptować.

Według profesora aparat słuchowy kojarzy się dziś z protezą, czymś, co musimy założyć, aby się wspomóc. Nie pamiętamy już, że kiedyś taką protezą były okulary. Dzisiaj są one modne podobnie jak aparaty na zęby, ale aparat słuchowy takim gadżetem jeszcze nie jest. Jak wynika z badań, bardzo wielu osobom zależy, aby aparat był rozwiązaniem dyskretnym. W tej chwili dostępne są modele naprawdę niewielkich rozmiarów, które można umieścić wewnątrz kanału słuchowego. Są one praktycznie niewidoczne dla osoby postronnej. Nie zawsze jednak takie rozwiązania da się zastosować. Osoby starsze lub pracujące fizycznie mogą nie poradzić sobie z obsługą takiego miniaturowego aparatu. Wtedy naukowcy proponują inne rozwiązania. Inna kwestia, że aparaty słuchowe wciąż są bardzo drogie. Prof. Gołębiewski, pytany dlaczego tak się dzieje, mówi:

- Aparat słuchowy jest wyrobem medycznym. Nie znajdziemy go w markecie. Poza tym nie mówimy tylko o urządzeniu, ale również o indywidualnym dopasowaniu go do potrzeb pacjenta przez wykwalifikowany personel. Nikt poza protetykiem słuchu nie zrobi tego dobrze. Zasadniczo cena jest tutaj wyznacznikiem możliwości aparatu. Jedne dobrze sprawdzą się w sytuacji takiej rozmowy jak ta, kiedy jest w miarę cicho. Ale gdybyśmy wyszli na zewnątrz, potrzebowałibyśmy innych rozwiązań, które np. niwelują hałas, pogłos itd. Droższe aparaty słuchowe lepiej sobie poradzą z taką bardziej skomplikowaną sytuacją akustyczną.

Obecnie środowisko protetyków słuchu mierzy się z problemem, że zawód ten nie został uregulowany prawnie i dziś właściwie każdy może sprzedawać aparaty słuchowe. Gdyby powstała ustawa o zawodach medycznych, o jaką zabiegają także protetycy słuchu, zawód ich stałby się zawodem medycznym, chronionym prawnie. Czeka ją na tę ustawę z niecierpliwością.

Magda Ziółek

Czas wyjść z antropocienia

W nagrodę pojechał na warsztaty przetrwania za kołem podbiegunowym, gdzie zobaczył zorzę polarną i pił wodę z lodowca.

Mowa o filozofie dr. Andrzeju Marcu, laureacie Nagrody Specjalnej Identitas.



Dr Andrzej Marzec pierwszy z prawej

Dr Andrzej Marzec z Wydziału Filozoficznego UAM otrzymał Nagrodę Specjalną Identitas 2021 za książkę „Antropocień – filozofia i estetyka po końcu świata”. Naukowiec, doceniony w konkursie dla polskich humanistów przed 41. rokiem życia, niewątpliwie należy do twórców „stosujących różnorakie środki wyrazu, o szerokim spektrum światopoglądowym”, których wyróżnia Fundacja Identitas.

Publikacja dr. Marca, uznana przez jury za jedną z najlepszych książek roku, wywołała zarówno entuzjastyczne, jak i krytyczne reakcje wśród czytelników. Filozof przekonuje w ślad za angielskim filozofem Timothyem Mortonem, że żyjemy już po końcu świata. – Współcześnie wszyscy mówią o końcu świata – mówi dr Marzec. – Ta idea nie tylko przeraża, ale przede wszystkim paraliżuje, bo gdy obietnica końca się przedłuża, nie robimy nic, powstrzymujemy się od działania. W historii życia na Ziemi tych końców świata było wiele, współcześnie prawdopodobnie mamy do czynienia z końcem białego człowieka Zachodu z klasy średniej i efektami jego destrukcyjnej działalności. To nie jest koniec życia na Ziemi, chociaż tak chcemy o tym myśleć. Gdy wiemy, że koniec świata jest już za nami, możemy odetchnąć z ulgą i zacząć myśleć o przyszłości. Stąd prowokacyjny podtytuł mojej książki.

Zdaniem filozofa przeżywamy obecnie uwiad wyobraźni futurystycznej; uwierzyliśmy w to, że przyszłości nie ma. Dlatego czas wyjść z „antropocienia”, czyli wyłącznie ludzkiej wizji świata oraz wydarzeń. – Moja książka próbuje uruchomić kreatywną wyobraźnię za pomocą filozoficznej spekulacji, pomyśleć inny świat, nie jeden, ale wiele światów z różnych perspektyw. Zgadza się z Ewą Bińczyk – podkreśla dr Marzec – która pisze o marazmie antropocenu. Chciałbym przesunąć tę opowieść i wyjść z impasu. To jest mój główny cel.

Antropocen to epoka, wobec której nie sposób się zdystansować – pijemy zatrutą wodę, wdychamy zanieczyszczone powietrze, a mikroplastik krąży w naszych ciałach! Dr Marzec uważa, że wymieranie gatunków roślin i zwierząt odbywa się również na poziomie symbolicznym. – Sami unieważniamy istnienie

oraz działanie nie-ludzi, na długo zanim realnie znikną nam z oczu. Statystycznie jesteśmy w stanie rozróżnić kilka rodzajów drzew, niewiele więcej grzybów. Chciałbym, żebyśmy nie tylko myśleli o tym, jak ocalić gatunki, ale również jak wprowadzać ich wersje wydarzeń do wspólnego świata znaczeń oraz humanistyki. – mówi. – Jeśli zaczniemy zauważać nie-ludzi jako ważnych uczestników życia codziennego oraz twórców rozmaitych znaczeń, być może wówczas nabiorą znaczenia również dla nas.

Laureat wraz z piątką nominowanych twórców wyjechał na warsztaty do osamotnionej bazy za kręgiem polarnym na wyspie Uløya. Były one częścią nagrody. – Nowatorska idea warsztatów wydaje mi się zbieżna z tematem mojej książki, dlatego bardzo się ucieszyłem, że mogłem wziąć w nich udział – ocenia. – Każdego dnia dyskutowaliśmy nad tekstami, dzieliliśmy się warsztatem pisarskim, ale też wspinaliśmy się po górach, szukaliśmy zwierząt – orek, maskonurów, reniferów. To były warsztaty przetrwania, nauka wzajemnego polegania na sobie i spotkanie z przyrodą. Piliśmy wodę z topniejącego lodowca, dzięki czemu opowieść o globalnym ociepleniu klimatu stała się niepokojąco bliska. Połączenie teorii i praktyki, które było celem tych warsztatów jest tym, czego humanistyce często brakuje. Nagrody, które są zadaniem do wykonania, okazują się niezwykle twórczym doświadczeniem i zapadają w pamięć.

Nagrodę główną otrzymał Zbigniew Rokita, dziennikarz i reporter, tegoroczny laureat Nagrody Nike, natomiast dwie nagrody specjalne przyznano naukowcom. Jedną z nich otrzymał dr Marzec. – Zazwyczaj jestem rozdarty między rygorem akademickim a przystępnością, którą często zatracamy w piśmarstwie naukowym. Nagroda specjalna podkreśla, że pogodzenie tych dwóch światów jest możliwe – podsumowuje filozof. – Piśmarstwo akademickie powinno wytyczać nowe ścieżki, lecz nie musi przy tym korzystać z hermetycznego, wykluczającego języka, który wiąże się często z niedostępnością dla samej niedostępności.

Książki sześciorga nominowanych pisarzy przez cały rok będą promowane w kraju, co pomoże im trafić do szerszego grona czytelników.

Ewa Konarzewska-Michalak



FOT. ADRIAN WYKROTA

Chemia od zawsze

- W chemii piękne jest to, że jest bardzo uporządkowana i ma pozytywne zastosowania w wielu dziedzinach życia - uważa **Anna Czombik**, laureatka tegorocznego Studenckiego Lauru.

Pasja Anny Czombik do chemii zaczęła się już w gimnazjum. Zdobyła wtedy I miejsce w wojewódzkim konkursie chemicznym, a liceum wybrała pod kątem dobrze wyposażonej pracowni. Jako uczennica II LO w Poznaniu dwukrotnie była finalistką olimpiady chemicznej, a także otrzymała nagrodę za najlepsze wykonanie zadań z chemii analitycznej.

- Wiele osób pytało mnie, dlaczego nie chcę iść na medycynę, ale ja od początku wiedziałam, że chcę podążać w kierunku chemii - mówi Anna Czombik. - Od zawsze fascynowała mnie też praca wykładowcy, brałam to pod uwagę, rozpoczynając studia na UAM.

Wybierając uczelnię Anna Czombik wzięła pod uwagę wysoki poziom badań naukowych, a także sentyment do Kampusu Morasko, na którym przyszła studentka często bywała przy okazji konkursów i olimpiad przedmiotowych.

W tym roku Anna Czombik osiągnęła duży sukces - otrzymała Studencki Laur. Pracowita studentka III roku chemii ze specjalnością synteza i analiza chemiczna kończy swój pierwszy projekt badawczy realizowany w ramach Best Student Grant. Młoda chemiczka prowadzi badania w Zakładzie Stereochemii Organicznej dotyczące organokatalizy asyme-

trycznej, intensywnie rozwijającej się dziedziny chemii, czego dowodem jest tegoroczna Nagroda Nobla dla Benjamina Lista i Davida W.C. MacMillana.

Synteza asymetryczna i dotycząca jej kataliza związana jest z pozostawianiem cząsteczek niektórych związków w relacji odbić lustrzanych. Naukowcy dążą do tego, żeby móc wyizolować konkretne cząsteczki i zastosować je jako katalizatory w wybranych reakcjach.

Anna Czombik zajmuje się karbokationem trietylowym, którego struktura często jest porównywana do molekularnego śmigła. - W większości reakcji, również tych przemysłowych, katalizatorami są cząsteczki oparte o związki metali szlachetnych. Jeśli okazałoby się, że można je zastąpić organokatalizatorami, nie obniżając przy tym wydajności reakcji, to byłby duży sukces. Organokatalizatory są bardziej przyjazne środowisku, wpisują się w założenia „zielonej chemii” i są tańsze - wyjaśnia laureatka.

Produkty reakcji, wykorzystujących organiczne katalizatory, mogą znaleźć zastosowanie w przemyśle chemicznym oraz farmaceutycznym.

- W chemii piękne jest to, że jest bardzo uporządkowana i ma pozytywne zastosowania w wielu dziedzinach życia - mówi Anna Czombik. - Obecnie nie wyobrażamy sobie życia chociażby bez nowoczesnej produkcji leków. Różnorodne związki chemiczne są w stanie upraszczać niektóre procesy i być pomocne w leczeniu.

Anna Czombik poświęca swój czas nie tylko nauce. Jak tylko została przyjęta w szeregi studentek UAM, zaczęła działalność w Naukowym Kole Chemików. Uczestniczyła w organizacji Miasteczka Mendelejewa, imprezie edukacyjnej dla uczniów i uczennic z Wielkopolski, przygotowanej z okazji 150. urodzin Dimitrija Mendelejewa, autora układu okresowego pierwiastków. W tym dużym wydarzeniu na Wydziale Chemii uczestniczyło ponad 600 osób. - Spotkania w Naukowym Kole Chemików mobilizują mnie do działania. - podkreśla. - Poznałam tam wielu pasjonatów, nie tylko chemii, ale również osoby realizujące się w sporcie i sztuce, które bardzo mnie inspirują.

Obecnie studentka współorganizuje doroczne sympozjum Koła w Stacji Badawczej UAM w Jeziorach, działa w Radzie Programowej Wydziału, współpracuje z Samorządem Studenckim. Od I roku studiów prowadzi też z licealistami i licealistkami zajęcia przygotowujące do olimpiady chemicznej.

Po intensywnych dniach Anna Czombik odpoczywa, grając na fortepianie, co sprawia jej prawdziwą przyjemność. W szkole podstawowej pod wpływem fascynacji książką „W pustyni i w puszczy” i jej ekranizacją z lat 70. nawiązała kontakt z Moniką Roscą, odtwórczynią postaci Nel, która jest pianistką. Uczennica zorganizowała nawet w swojej szkole i w bibliotece w Puszczykowie koncerty Moniki Roski. Do dziś utrzymuje kontakt z pianistką i jej mężem Markiem Waggonerem, gitarzystą, a na ich koncertach bywa częstym gościem.

Ewa Konarzewska-Michalak

Jak rozmowa to bez kozetki

FOT. ADRIAN WYKROTA

Z Kingą Zawadą z Wydziału Psychologii i Kognitywistyki, wyróżnioną Studenckim Laurem, rozmawia Krzysztof Smura.

Na początek serdecznie gratuluję. Kim jest Kinga Zawada?

To studentka psychologii, która zaczęła V rok studiów na UAM i wokół studiów, jak i kierunku, kręci się jej życie. Z nim też wiąże swoją przyszłość. Ja już w gimnazjum wiedziałam, że chcę być psycholożką. W przyszłości chcę też pracować na uczelni, stąd mocno angażuję się zarówno w życie pozauczelniarne, takie jak wolontariat, jak i uczestniczę w konferencjach, prowadzę badania. Prywatnie, oprócz studiów, pracuję przy projekcie unijnym pt. Środowiskowe Centrum Zdrowia Psychicznego Poznań Północ. Czekam na ukończenie studiów. W tej pracy prowadzę wywiady z pacjentami. Testuję. Uczę się. Jednak dopiero po dyplomie będę mogła mieć swoich podopiecznych. W przyszłości chciałabym być psychoterapeutką.

Czyli gabinet, kozetka...

Kozetki się nie praktykuje. To artefakt z czasów Freuda. Dziś ważna jest rozmowa twarzą w twarz.

Ma pani swojego guru?

Zdecydowanie. Jest nim Irvin Yalom z Uniwersytetu Stanforda. Psychoterapeuta, autor książek zarówno dla psychologów, jak i książek popularnonaukowych. Z bliskich mi osób, mających wpływ na ukształtowanie mnie jako młodej badaczki, zdecydowanie taką osobą jest **prof. Katarzyna Adamczyk**. Moja promotorka i wykładowczyni. Podziwiam ją. Jest moją mentorką.

Praca magisterska już gotowa?

Piszę o wpływie duchowości na dobrostan, ale też i na związki. Jest taki konstrukt bycia osobą społecznie powiązaną lub nie. Te pierwsze mają punkty odniesienia w społeczeństwie, we wsparciu społecznym. Zakładam, że osoby mające oparcie w duchowości, czy to rozumianej przez religijność czy wiarę w jakiś wyższy byt, będą mogły dzięki temu w pewien sposób kompensować np. brak partnera. Czyli coś bardziej z psychologii społecznej niż z klinicznej. Badania skończone, czas na pisanie.

Projekt: Facebook a związki. Jakie miał zadanie?

Miał odpowiedzieć na pytanie, czy angażując się w działalności online typu spędzanie czasu w mediach społecznościowych, tracimy kontakt z partnerem. Wyszło, że rzeczywiście, takie działania obniżają satysfakcję ze statusu związku. Projekt realizowałam z koleżanką Wiktorią Skórzyńską. Ja zajmowałam się opisem wyników w postaci artykułu, a ona projektem. Wyniki pokazały jednoznacznie, że korzystanie z medium społecznościowego może wpływać na obniżenie tej satysfakcji. Korzystałyśmy z narzędzi psychometrycznych, ale w formie online. Przeprowadziłyśmy analizę korelacji. Widzę to na co dzień, szczególnie wśród młodych ludzi. To może być niebezpieczne, bo wpływa np. na nasz dobrostan. Na naszą samoocenę.

Samoocenę? Dlaczego?

Bo gdy oglądamy zdjęcia celebrytów w mediach społecznościowych np. na Instagramie, to zauważamy, że oni są tacy piękni, a my jesteśmy tacy normalni do bólu. Z czasem może nam się zacząć wydawać, że tak jak u celebrytów powinno wyglądać prawdziwe życie, a my znów musimy obrąć ziemniaki na obiad czy pójść do szkoły i to w sytuacji, gdy mamy twarz wysypaną trądzikiem. Obawy rosną.

Skoro o obawach. Kolejne badanie, w którym pani uczestniczyła, dotyczyło lęku przed COVID-19...

Razem z koleżankami prowadziłyśmy tzw. adaptację. Chodziło o narzędzie psychometryczne. Taki test psychologiczny czy kwestionariusz musi być zaadaptowany do warunków kraju, w którym chce się go wykorzystać. Jest tak dlatego, że niby te narzędzia mierzą to samo, ale przykładowo: obawy przed koronawirusem mogą być większe w sytuacji braku ubezpieczeń zdrowotnych w Stanach Zjednoczonych, czy mniejsze w przypadku Szwedów, którzy mają wzorcowe rozwiązania opiekuńcze. Korzystając z kwestionariuszy z innych krajów trzeba je adaptować do warunków w kraju, który nas interesuje. Sprawdzaliśmy, czy narzędzie jest użyteczne w Polsce.

Badaliście też wpływ epidemii koronawirusa na romantyczność związku?

Tak. Badaliśmy jego wpływ na satysfakcję ze związku oraz satysfakcję seksualną. Byłyśmy bardzo zdziwione, ale badanie wykazało, że epidemia miała minimalny wpływ na tę sferę uczuciowości. Badanie było prowadzone głównie wśród młodych ludzi, w czasie ścisłej kwarantanny. Wyobrażałyśmy sobie, że osoby zamknięte ze sobą mogą reagować bardzo różnie, tymczasem okazało się, że stres związany z COVID-19 wpłynął minimalnie na związki.

W którym miejscu chce być pani za pięć lat?

Chciałabym być po doktoracie i mieć już doświadczenie jako psychoterapeutka. Z własnym gabinetem. W życiu prywatnym też chciałabym, aby wszystko poszło do przodu.



FOT. ARCHIWUM MAŁGORZATY NITY

Z kulturą do oliwek

Zostać mistrzem świata w zbieraniu oliwek? Czemu nie. Każdemu wolno marzyć, ale wygrywa tylko najlepszy. Tym samym miło nam poinformować, że najlepiej na świecie oliwki zbiera Małgorzata Nita, zastępca kierownika Sekcji Administracyjno-Gospodarczej UAM i dodać, że sukcesu pewnie by nie było, gdyby nie duchowe wsparcie płynące z Collegium Minus. Świadkiem szef **Małgorzaty Nity** – Artur Ratajszczak.

Jak dla nas – bomba. Oliwek u nas poza sklepowymi półkami nie uwidzisz. Tym bardziej hasło „Polak potrafi” ma tu i sens i sprawdza się w całości. – To nie było dzieło przypadku. Od lat z mężem hołdujemy zasadzie, żeby uczestniczyć w wydarzeniach, które mają w sobie pozytywną energię – mówi Małgorzata Nita. – To mąż trafił na informację o mistrzostwach świata w zbieraniu oliwek. I postanowiliśmy spróbować.

Pierwsza próba miała miejsce w 2019 roku w Chorwacji. Wynik był obiecujący, bowiem polski zespół w czteroosobowym składzie zajął siódme miejsce. – To było trochę na wa-

riata. Bez przygotowania, ale z mocnym postanowieniem, by dać z siebie wszystko, zawitaliśmy na chorwacką wyspę Brač do miejscowości Postira. Razem z nami w zawodach brało wówczas udział 12 ekip z całego świata. Cała impreza trwała od czwartku do niedzieli – wspomina Małgorzata Nita.

Nie inaczej było w tym roku. W październiku zawodnicy z całego globu ponownie spotkali się na Wyspie Brač. Organizator zapewniał pobyt i był do tego dobrze przygotowany. Ekipy zamieszły w hotelu Pastura, z którego do Adriatyku było niespełna 5 metrów. – W tym samym składzie co w 2019 roku, czyli z mężem Krzysztofem i dwójką przyjaciół, Magdą i Karolem pojechaliliśmy w tym roku na mistrzostwa. Nastroje były świetne, ale efektu końcowego nie spodziewaliśmy się – przyznaje Małgorzata Nita. – Zawody jak zwykle zaczęły się od wspólnej kolacji, w czasie której każda z ekip dokonywała krótkiej prezentacji kraju i siebie. W naszych strojach, z białoczerwonymi emblematami i kilogramami krówek z Gminy Golinie zrobiliśmy chyba dobre wrażenie, bo oklaskom nie było końca.

W dniu zawodów, kapitanowie drużyn zaopatrzeni w kolorowe szarfy, stanęli na starcie i na znak arbitra ruszyli w celu oznaczenia czterech najładniejszych drzew oliwkowych. Wszystko w biegu. Wszystko na czas. Szukali najbardziej dojrzałych drzewek, bo w efekcie końcowym liczyła się waga zebranych oliwek. Starali się je oznaczyć własną szarfą. – Bywało, że przy jednym drzewku spotykało się dwóch, trzech kapitanów. Zwyciężała kultura osobista – śmieje się Małgorzata Nita. – A potem szybkość i umiejętność.

Po starcie do właściwych zawodów zespoły miały 45 minut na wykonanie zadania. Emocji było mnóstwo. Śmiechu i dobrej zabawy również. Magda, Małgorzata, Krzysztof i Karol ubrani w specjalne fartuchy z ogromnymi kieszeniami zbierali do nich oliwki, które następnie przesypany do skrzynek.

– Nie wiedzieliśmy, jak nam poszło. Trzeba było czekać. Po zawodach odbyło się ważenie oliwek i każda z ekip dostawała kartkę ze swoim wynikiem. Nam wpisano na niej 48,6 kilogramów. Ogłoszenie wyników miało miejsce następnego dnia wieczorem. To wówczas okazało się, że Polacy i zawodnicy z Izraela zdobyli pierwsze miejsce ex aequo. Za nimi na podium znaleźli się: drużyna RPA i Rosjanie. Była ogromna radość i pamiątkowe medale z miejscowego białego kamienia. Ponoć z tego samego jest wybudowany Biały Dom w Waszyngtonie. Zostaliśmy mistrzami świata! – cieszy się mistrzyni.

Teraz ekipa z udziałem zawodników z UAM przymierza się do kolejnych konkurencji. Być może będą to mistrzostwa świata w zbieraniu winogron lub fig, ale jak zapewnia nasza rozmówczyni, oliwek nie odpuszczają. Zresztą, jako laureaci tegorocznej edycji zaproszenie na kolejne zawody mają w kieszeni. I znów trzeba będzie trzymać kciuki, a że Collegium Minus to potrafi, o tym już wiemy. Czas pokaże czy w Polsce odbędą się mistrzostwa świata w zbieraniu ziemniaków...

Krzysztof Smura

Przestrzeń towarzyszy mi cały czas

Nowy Tomyśl słynie z największego
na świecie kosza wiklinowego.
Twórcą tej wyjątkowej rzeźby
jest **prof. Jędrzej Stępak**
z naszego uniwersytetu.



Prof. Stępak jest artystą przestrzeni. – Pasjonuje mnie tworzenie zarówno w dużej, jak i małej przestrzeni. Lubie ją aranżować. Już na studiach wystawiałem dużo swoich prac, zostało mi to do tej pory – mówi twórca. Znany na świecie artysta plastyk rozpoczął swoją karierę artystyczną z myślą o scenografii filmowej i teatralnej. Dyplom zrobił w pracowni gobelinu u Magdaleny Abakanowicz, ale ukończył też grafikę i plakat u prof. Waldemara Świerzego oraz scenografię u Józefa Szajny w Warszawie. Od w 1979 r. pracuje w CK Zamek, gdzie prowadzi pracownię tkaniny i form wizualnych. Profesor od początku swojej kariery tworzył dużo i często wystawiał swoje prace w kraju i zagranicą. W młodości, mimo niesprzyjającego klimatu lat 80., profesor jeździł po świecie jako aktor i scenograf z teatrem studentkimi Maya na festiwalu do Niemiec, Francji, Portugalii. – Marzyłem o dalekich wyjazdach, jednak nostalgia za Polską była silniejsza. Nigdy nie czułem się obywatelem obcego kraju – wspomina profesor.

Większe możliwości podróżowania otworzyły się w latach 90., które prof. Stępak potrafił dobrze wykorzystać. Wtedy artysta wyjechał m.in. na roczne stypendium Fundacji Kościuszkowskiej do USA. – Przygotowałem trasę artystyczną od Wschodniego do Zachodniego Wybrzeża przez osiem uniwersytetów, w których prowadziłem wykłady i zajęcia ze studentami – mówi. – Byłem w Chicago, Nebrasce, najwięcej czasu spędziłem w San Francisco, gdzie wykonywałem rzeźbę z wikliny pod tytułem „Running wall”. Samo tworzenie stanowiło rodzaj performance, przeprowadzanego na oczach publiczności.

Od lat domeną prof. Stępaka są rzeźby rosnące, tworzone z żywych drzew i krzewów, które rozwijają się i rosną latami. Inspiracje przyrodą mają źródło w dzieciństwie spędzonym w rodzinnym domu w Puszczykowie na brzegu Krajobrazowego Parku Narodowego. A sama fascynacja rosnącymi rzeźbami narodziła się trochę przypadkowo. – Kiedyś jechałem rowerem nad Wartą w Poznaniu. Gałęzie krzewów zasłaniały ścieżkę – odgarnąłem je i zaplotłem, żeby nie przeszkadzały. Gdy kilka lat później tamtędy znów jechałem, zobaczyłem, jak się zrosły i pomyślałem, że ktoś ładnie to zrobił, a to byłem ja! – dzieli się anegdotą profesor.

Częściowo za sprawą żywych rzeźb prof. Stępak rozpoczął pracę na UAM w 1999 r. Profesor współpracował wtedy z duszpasterstwem akademickim ojca Jana Góry. Projektował park i tworzył ze studentami aranżacje z wikliny na Spotkaniach Młodych na Lednicy, na co zwrócił uwagę m.in. **prof. Stefan Jurga**, ówczesny rektor UAM. – Spytał mnie, czy chciałbym pracować na uczelni. Odpowiedziałem, że nie wiem, co miałbym tam robić. On na to: – No jak to? Bardzo dużo, widzę, jak pracujesz ze studentami. Spodobał mi się ten pomysł, a moje wykształcenie i dorobek wskazywały, że mogę pracować na UAM. I tak zaproponowano mi pracę na Wydziale Studiów Edukacyjnych – mówi.

Na WSE prof. Stępak prowadził Pracownię Form Przestrzennych, potem Zakład Działań Twórczych w Przestrzeni Społecznej, a od dwóch lat kieruje Laboratorium Działań Twórczych w Przestrzeni Społecznej.

– Laboratorium wychodzi poza przestrzeń uniwersytetu, jest jego wizytówką. Organizujemy wystawy, performance,

Wychwytuję zdolnych studentów. Mam do tego dar. Bardzo lubię prowadzić fakultety dla studentów różnych specjalizacji, np. matematyki i filozofii, bo oni myślą trochę inaczej, tworzą często świetne prace.

działamy na festiwalach kultury studenckiej m.in. na Kulminacjach. Na UAM nawiązałem współpracę z uniwersytetami w Kuala Lumpur i Penang w Malezji, gdzie wykładałem jako visiting artist. Na Apalachian University w Karolinie Północnej zrobiłem jedną z polskich odsłon wystawy sztuki polskiej. Od lat współpracuję z uniwersytetem we Lwowie. Realizujemy tam wspólnie duży projekt międzynarodowy. Jak widać, interesuje mnie nie tylko przestrzeń otwarta, ale też przestrzeń międzyludzka – żartuje profesor.

Przez dwa lata profesor kierował też galerią na Wydziale Fizyki, gdzie wystawiał prace studentów i swoje. – Wychwytuję zdolnych studentów. Mam do tego dar. Bardzo lubię prowadzić fakultety dla studentów matematyki i filozofii, bo oni myślą trochę inaczej i tworzą często świetne prace. Niektórzy odnieśli duży sukces. Jeden z absolwentów filozofii prowadzi galerię w Londynie, a Wojtek Marczuk, który miał u nas wystawę, teraz prowadzi dużą firmę marketingową – wspomina profesor.

Jednym z ulubionych materiałów prof. Stępaka jest wiklina. To częściowo dzięki niej artysta osiadł w okolicach Nowego Tomysła i związał się z wielkopolskim zagłębiem wikliny na lata. W budynku dawnej szkoły w sąsiedztwie Nowego Tomysła profesor ma swoją pracownię, gdzie organizuje również wystawy. Miasto zawdzięcza profesorowi sławę za sprawą rzeźby Kosz 2000. U progu trzeciego tysiąclecia mieszkańcy chcieli zareklamować swoje miasto i jednocześnie zrobić wspólnie coś nowego. Padł pomysł, by wykonać wielki kosz. Rozpisano konkurs, który wygrał prof. Stępak. – Mój projekt nawiązuje do łodzi – herbu miasta. Przypomina zarówno koszyk, który można wziąć do ręki, jak i korab – wyjaśnia.

Przygotowania zajęły więcej czasu niż samo wypłatanie rzeźby. Miasto zgłosiło pracę do Księgi Rekordów Guinnessa, ale jej przedstawiciele długo się nie odzywali i nie było wiadomo, czy kosz wiklinowy nie będzie zbyt mały. Zgodę na postawienie obiektu na Placu Niepodległości w Nowym Tomysłu musiał też wyrazić architekt wojewódzki. Ostatecznie wszystko dobrze się skończyło. Formalności załatwiono i można było przystąpić do wykonania dzieła. W pracach wzięło udział ok. 60 osób, w większości lokalnych rzemieślników. Wiklina wspierała się na konstrukcji metalowej i betonowej, rzeźba była pozbawiona dna, tak by rośliny, które ją wypełniły, mogły pobierać wodę, a kosz nie butwiał od spodu. Profesor zasadził różnorodne drzewa – rododen-

drony, katalpy, klony, iglaki tak, by kosz o każdej porze roku prezentował się atrakcyjnie. Dwa dni przed ukończeniem prac z Londynu przysły wymiary – okazało się, że nowotomyski kosz szczęśliwie pobił rekord Guinnessa! Po sześciu latach kosz wykonany z nieimpregnowanej wikliny trzeba było zastąpić nowym, bardziej trwałym i jeszcze większym – o 20 m długości i 10 m wysokości. W zeszłym roku rzeźbę odnowiono i zainstalowano oświetlenie. Kosz odniósł wielki sukces, wydano znaczek pocztowy z jego wizerunkiem, pocztówki, etykiety na piwo, a nawet wybito monety. Kosz stał się niejako symbolem Nowego Tomysła.

Warto dodać, że prof. Stępak współpracował z organizacją Greenpeace, dla której zaprojektował kolekcję mebli z wikliny. Z tego materiału stworzył również taras polskiego pawilonu na Wystawie Światowej Expo w Hiszpanii w 1992 r. – Powstał taras, za który dostałem nagrodę. To było szaleństwo, wielkie ryzyko, bo miałem tylko dwa miesiące na zorganizowanie wszystkiego, łącznie z meblami i wszystkimi pracami. Prace wykonały zakłady wikliniarskie w Nowym Tomysłu oraz wikliniarze w Aleksandrowie Kujawskim. Na Expo pojechały dwa tiry wyrobów. To był duży sukces, bo było głośno nie tylko o mnie, ale i o Nowym Tomysłu – podsumowuje profesor.

Ewa Konarzewska-Michalak



FOT. ARCHIWUM

Największy na świecie kosz wiklinowy



FOT. ADAM CZERNIENKO

Najbardziej lubię rolę naukowca

Z **prof. Andrzejem Pukaczem**, pełnomocnikiem rektora UAM ds. dydaktyki, biologiem, rozmawia Michalina Łabiszak

Z Collegium Polonicum jest pan związany już od czasu studiów, czyli od kiedy?

Zacząłem studiować ochronę środowiska w 1998 roku na Politechnice Szczecińskiej, ale krótko po rozpoczęciu roku akademickiego, za namową profesora Jerzego Siepaka, przenieśliśmy się do Collegium Polonicum. Była to dla mnie trudna decyzja, ponieważ jako rodowity słubiczanie chciałem wyjechać do innego miasta. Z perspektywy czasu wiem jednak, że był to dobry ruch.

W tym samym roku – 1998 – otwarto pierwszą część Collegium Polonicum, a zatem można powiedzieć, że wkroczył pan w jego mury tuż za przeciętą wstęgą.

Zgadza się, byłem studentem pierwszego rocznika na kierunku ochrona środowiska w Słubicach. Przy okazji byłem też pierwszym studentem Collegium Polonicum pasowanym przez ówczesnego rektora UAM prof. Jurgę. Collegium Polonicum prowadziło w 1998 roku dwa kierunki: ochronę środowiska i politologię. Studia w tym miejscu były niezwykle cennym doświadczeniem, ponieważ my – studenci – mieliśmy wpływ na kształt naszej uczelni. Tworzyliśmy strukturę studencką, samorząd i koła naukowe. Mogliśmy realnie wpływać na kształt naszych studiów, a Collegium Polonicum gwarantowało uniwersytecką jakość kształcenia w moim rodzinnym mieście. Ze szczególnym sentymentem wspominam atmosferę tego miejsca, otwartość w kontaktach między wykładowcami a studentami i bezpośredniość, która wpływała zarówno na naukę i badania, jak i zawiązujące się między nami przyjazne relacje.

Zastanawiam się, czy ta właśnie atmosfera Collegium Polonicum miała wpływ na wybór pana ścieżki zawodowej?

Zdecydowanie tak. Na II roku studiów zostałem zauważony przez **prof. Mariusza Pełechatego** z Wydziału Biologii i **prof. Lubomirę Burchardt**, która była promotorką mojej pracy licencjackiej. To im pokazałem jeziora i przyrodę w okolicach Słubic, zaprosiłem do miejsc, którymi sam byłem zachwycony. Tym samym otworzyłem sobie poniekąd ścieżkę kariery naukowej, ponieważ zauroczyłem ich tym, co fascynowało także mnie. Pojawiły się więc propozycje dalszego rozwoju naukowego.

Wspomniał pan wcześniej, że uczestniczył w różnych inicjatywach zawiązujących się na nowo powstałej uczelni. Które z nich wspomina pan dziś jako najbardziej rozwijające?

Collegium Polonicum wspominam jako uczelnię otwartą na ludzi, nowe idee – jako przyjazne miejsce, w którym panują przyjacielskie relacje. Trudno wskazać konkretne inicjatywy. Myślę, że atmosfera studiów sprzyjała rozwojowi i wpływała na decyzje zawodowe absolwentów, czego sam jestem przykładem. Moje koleżanki i koledzy z roku także rozwijali

Najbardziej lubię rolę naukowca. Bardzo lubię też rolę wykładowcy oraz nauczyciela. Od trzech lat mam możliwość prowadzenia zajęć z uczniami Uniwersyteckiego Liceum Ogólnokształcącego w Słubicach. Jest to fantastyczne doświadczenie.

się zawodowo w ochronie środowiska, biologii czy chemii. Z pewnością rozwijające były także relacje z Uniwersytetem Viadrina – bezpośredni kontakt z wykładowcami i pracownikami. Dzięki temu nauczyłem się odnajdować w relacjach zawodowych, naukowych, ale też osobistych.

Collegium Polonicum powstało przy ścisłej współpracy z Europejskim Uniwersytetem Viadrina. Zagadnienia relacji interkulturowych, współpraca i integracja były i są ważne dla obu ośrodków. Natomiast oferta kierunków studiów zmieniała się i wciąż zmienia, prawda?

Współpraca na wymienionych płaszczyznach nadal trwa, a oferta kierunków jest dostosowywana do zmieniających się potrzeb. Należy jednak pamiętać, że Collegium jest związane porozumieniami międzyrządowymi, co wpływa na możliwość zmiany oferty edukacyjnej. Na kształt oferty wpływają też zmieniające się przepisy i regulacje – reforma szkolnictwa wyższego spowodowała likwidację niektórych kierunków cieszących się popularnością, np. politologii, ochrony środowiska, gospodarki przestrzennej. Obecnie Collegium Polonicum prowadzi głównie kierunki wspólne z Uniwersytetem Viadrina. Nasze uczelnie realizują jednak nie tylko studia, ale również projekty naukowe oraz szereg innych działań. W wielu z nich miałem przyjemność uczestniczyć, np. w tworzeniu Polsko-Niemieckiego Instytutu Badawczego.

W tym roku Collegium Polonicum obchodzi jubileusz 30-lecia. Jak zmieniło się na przestrzeni lat?

Na pewno nie jest tym Collegium Polonicum, jakim było 30 lat temu. Współcześnie jest to platforma szeroko rozumianej współpracy międzynarodowej, czego przykładem jest choćby European New School of Digital Studies – projekt skierowany nie tylko do polskich i niemieckich studentów oraz pracowników, ale do całej międzynarodowej społeczności akademickiej. Ośrodek w Słubicach pozostał natomiast miejscem wymiany naukowej i dydaktycznej. Uczelnia podąża za trendami w zakresie kultury myślenia, światopoglądu. Odbywają się u nas wystawy, konferencje, podczas których poruszane są problemy istotne dla zmie-

nającego się świata. Collegium Polonicum nieustannie ewoluuje, dostosowuje się do potrzeb i zmian wokół nas. Myślę, że ewoluujemy także my – pracownicy, dydaktycy.

Jak w takim razie ewoluowała pana ścieżka kariery w Collegium Polonicum?

Byłem studentem Collegium Polonicum, a jako magistrant Wydziału Biologii uczestniczyłem także w zajęciach ze studentami w Słubicach. Następnie byłem doktorantem Collegium, w ramach programu Europa Fellows. W kolejnych latach zostałem adiunktem kierunku ochrona środowiska, a następnie jego kierownikiem. Pracowałem też w Polsko-Niemieckim Instytucie Badawczym, gdzie w końcowym okresie jego funkcjonowania pełniłem funkcję dyrektora. Po zamknięciu Instytutu zostałem mianowany przez Panią Rektor na pełnomocnika ds. dydaktyki w Collegium Polonicum. Mimo że jako biolog nie do końca wpasowywałem się w ofertę dydaktyczną Collegium Polonicum, zawsze potrafiłem odnaleźć tutaj swoje miejsce, dostosowując się do jego potrzeb. Dzięki laboratorium, z którego korzystam do dziś, mogę prowadzić badania wspólnie z kolegami z UAM i innych uczelni. Co ciekawe, moja historia związana z tym miejscem w pewien sposób zatoczyła koło. Przy każdej zmianie roli zmieniały się nie tylko moje obowiązki, ale i biuro. Obecnie zajmuję gabinet, w którym zaczynałem swoją pracę w Collegium. Dwa lata temu mogłem wybrać miejsce, w którym chcę pracować – nie wahałem się, gdy zaproponowano mi ten pokój.

Którą z tych swoich ról lubi pan najbardziej?

Najbardziej lubię rolę naukowca na co, niestety mam coraz mniej czasu. Bardzo lubię też rolę wykładowcy oraz nauczyciela. Od trzech lat mam przyjemność prowadzenia zajęć z uczniami Uniwersyteckiego Liceum Ogólnokształcącego w Słubicach. Jest to fantastyczne doświadczenie. Mamy wyjątkową młodzież, z którą świetnie się pracuje. Praca dydaktyczna sprawia mi dużą przyjemność. Na trzecim miejscu stawiam tworzenie i udział w nowych projektach, które często są wyzwaniem. Na samym końcu z kolei wymieniłbym pracę administracyjną.

Prof. Tomasz Pędziński. One man team sport

Sport traktuje jako hobby, choć, jak przyznał w młodości, marzyły mu się studia na Akademii Wychowania Fizycznego. Ostatecznie wygrała chemia, choć sport nadal mu towarzyszy i to zarówno prywatnie jak i w pracy naukowej. Prof. Tomasz Pędziński, kierownik Zakładu Fizyki Chemicznej, harmonijnie łączy pasje do sportu i nauki, a ostatnio również do dydaktyki, która, jak mówi, pochłonęła go całkowicie.

Siatkówka, biegi długodystansowe, pływanie – tak przeczytałem na pańskiej stronie. Czy coś mi umknęło?

Gdybym miał historycznie przedstawić swoje pasje sportowe, to wszystko zaczęło się od siatkówki. Przez 12 lat grałem w AZS UAM, z czego aż 6 lat byłem kapitanem drużyny. Trochę żałuję, że ta przygoda się zakończyła, ale tak jest ze sportami zespołowymi. Ludzie kończą studia, rozjeżdżają się i z dnia na dzień okazuje się, że nie ma już z kim grać. Więc kiedy ta przygoda się zakończyła, postawiłem na sporty jednoosobowe. Taki *one man team sport*. Najpierw zacząłem biegać krótsze dystanse 5-10 km, potem przyszedł czas na biegi długodystansowe. Pochwałem się, że moja „życiówka” w półmaratonie to 1:29 – ale wciąż jestem na tyle młody, że wierzę w jej poprawienie. W tzw. międzyczasie moja córka rozpoczęła treningi pływackie, no i włączył mi się w głowie taki moduł sportowca, pozazdrościłem jej i sam zacząłem pływać z trenerem. Ale, uprzedzając pytanie, nie wyszedł z tego triathlon. Nie startuję, ponieważ nie umiem jeździć na rowerze (*śmiech*). Zresztą, to akurat nigdy mnie nie pociągało...

Takie zacięcie sportowe chyba nadal nie jest zbyt popularne wśród naukowców? Czy chemicy lubią sport?

A właśnie, że lubią. Mam kilku kolegów, których gdzieś na maratonach udaje mi się wyprzedzać. To oczywiście żart. Dotychczas udawało mi się – myślę o epoce przedcovidowej – połączyć naukę ze sportem. Jadąc na konferencję, sprawdzałem, czy w pobliżu nie odbywa się jakiś bieg. Tak udało mi się wy-

startować w maratonie w Buenos Aires, w Tel Awiwie, Chicago i paru innych mniej egzotycznych miejscach.

Zmienię temat. Jest pan stypendystą dwóch bardzo prestiżowych programów: Fulbrighta i Marie Curie. Co młodemu człowiekowi z zacięciem sportowym dały te stypendia?

Pierwsze stypendium w 2000 roku na Uniwersytecie Stanforda w Kalifornii to już zamierzchła historia. Pamiętam z tego czasu ogromny stres. To był mój pierwszy wyjazd zagraniczny, pierwszy lot samolotem i to od razu za ocean. Ponieważ wówczas nie podróżowało się tyle co dziś – nie było nawet kogo zapytać, poradzić się.

Muszę powiedzieć, że ten wyjazd nauczył mnie samodzielności, pozwolił zbudować poczucie własnej wartości. To było dla mnie ogromne zaskoczenie, kiedy na pierwszym spotkaniu dostałem instrukcje obsługi aparatury, ale nie przedstawiono mi mojego opiekuna naukowego. Przyjechałem do pracy i tego ode mnie wymagano. Byłem tam zaledwie 3 miesiące, ale na pewno była to dla mnie szkoła życia. Potem przez kolejne 5 miesięcy kontynuowałem stypendium na Uniwersytecie Notre Dame (Indiana, USA) i to już była wielka przygoda naukowa.

To taki bliski nam uniwersytet, wiele osób ma go w swoim CV. To prawda, wiele osób z naszego środowiska tam było. Uniwersytet Notre Dame ma świetnie wyposażone laboratorium, kierowane przez ludzi, z którymi nasz uniwersytet ma

bardzo bliskie kontakty. Mogę wymienić kilku z nich: Gordon Hug, Ian Carmichael czy Dieter Asmus – który wtedy, kiedy tam byłem, był dyrektorem. Muszę powiedzieć, że mój doktorat powstał głównie na podstawie wyników, które uzyskałem w trakcie tego stypendium. Natomiast po doktoracie, w latach 2002 – 2005 pojechałem na stypendium Marie Curie. Początkowo pracowałem w Poczdamie w Laboratorium Spektroskopii Laserowej kierowanym przez prof. Hansa-Gerda Löhmansröbena. Skończyło się jednak na takim nietypowym stypendium Marie Curie Industry Host Fellowship, realizowanym też w laboratorium naukowym, ale w prywatnej firmie spin-off Optimare GmbH w niewielkim miasteczku Wilhelmshaven w północno-zachodnich Niemczech. Ten wyjazd z kolei nie dał mi tego, czego zwykle spodziewa się po zagranicznych stypendiach, a więc ogromnej liczby publikacji naukowych. Mam z tego okresu zaledwie dwie prace. Natomiast pracowałem w prywatnej, innowacyjnej firmie. Wtedy po raz pierwszy mogłem zobaczyć, jak w praktyce można wykorzystywać badania naukowe. To właśnie tam nauczyłem się spektroskopii laserowej. Jako chemikowi zawsze wmawiano mi, że laserami mogą się zajmować tylko fizycy (*śmiech*). Nieprawda, chemik także może sobie z tym poradzić. Nie wspominałem jeszcze o dwóch ważnych korzyściach z tych wyjazdów. Nauczyłem się angielskiego i niemieckiego.

A myślałem, że w laboratoriach naukowych można poradzić sobie z samym angielskim?

Mieszkałem w Wilhelmshaven, w małej miejscowości – zaledwie 70 000 mieszkańców, położonej 100 km na północ od Bremy. Taka mała społeczność rządzi się swoimi prawami. Trudno tam funkcjonować bez znajomości języka. Niemieckiego nauczyłem się przez kontakty sportowe. Swoje pierwsze kroki po przyjeździe na miejsce skierowałem do hali sportowej, gdzie zapisałem się do klubu. Przez 3 lata reprezentowałem zespół SSV Wilhelmshaven w III lidze niemieckiej siatkówki. Mam nawet na to licencję.

Od dwóch lat jest pan wykładowcą na kierunku Liberal Arts and Sciences UAM. Opowie pan coś o tym doświadczeniu?

Nigdy nie przypuszczałem, że będę prowadził wykłady dla Wydziału Historii – ja, fotochemik. A jednak prowadzę i muszę powiedzieć, że te zajęcia dają mi dużą satysfakcję. Kierunek Liberal Arts and Sciences na UAM (<http://las.amu.edu.pl/pl/>) zapoczątkował **prof. Rafał Witkowski**. Idee przeniósł z uniwersytetu we Fryburgu, ale podobne kierunki ma wiele prestiżowych uczelni na świecie. Jestem w radzie programowej tego kierunku. Już na etapie projektu zaproponowałem przedmiot, opisujący historię odkryć naukowych. Potem pomyślałem, że może nie o wszystkich odkryciach wiem tyle, by móc kompetentnie opowiadać, i tak stało się na tym, że będę mówił na temat światła. W trakcie wykładów staram się wyjaśnić, czym jest światło, pokazać historię eksperymentów, które pozwoliły

odkryć jego naturę. Część z nich powtarzamy na zajęciach ze studentami. Bardzo lubię ten eksperyment, w którym badamy naturę falową światła. Kieruję wiązkę laserową na podwójną szczelinę i, ku zaskoczeniu studentów, jeśli światło pada na dwie blisko siebie położone szczeliny, wynikiem tego doświadczenia nie są wcale dwa paski światła, tylko kilka rozproszonych punktów. To historyczny eksperyment Thomasa Younga z 1804 roku, który pokazuje, że fala, jaką jest światło, raz się wygasza, a raz wzmacnia. Dla studentów, którzy w większości uważają siebie za humanistów, wygląda to jak czary. Tymczasem jest to eksperyment znany od początków XIX wieku. Na wykładach mierzymy też prędkość światła. Ku zaskoczeniu wielu osób – w tym i moim, kiedy zacząłem o tym czytać – prędkość światła zmierzono całkiem dokładnie w już 1675 roku. Zrobiono to metodami astronomicznymi. Dzisiaj ze studentami mierzymy to za pomocą lasera i oscyloskopu. Bardzo dużo radości mi to sprawia. Cały czas się przygotowuję. Mam dużą swobodę w prowadzeniu zajęć. Ode mnie zależy, o czym będę opowiadał. To takie fajne, kreatywne zadania.

Mówiliśmy dużo o działalności dydaktycznej, ale ma pan też spory dorobek naukowy. Czym obecnie pan się zajmuje?

Jestem kierownikiem projektu infrastrukturalnego w CZT UAM, gdzie również pracuję. Zajmuję się tam nadzorowaniem kluczowej dla działania centrum aparatury badawczej. Udało nam się uzyskać grant z Działania nr 4.2 Programu Operacyjnego Innowacyjny Rozwój, na zakup aparatury. To wydaje się szokujące, bo CZT w świadomości wielu osób, to nowa jednostka; tymczasem aparatura, która służy 7-8 lat, wymaga już pewnego liftingu, czasem wręcz wymiany. Kierowanie tym projektem zajmuje ostatnio lwią część mojego czasu. Poza tym jestem kierownikiem Zakładu Fizyki Chemicznej na Wydziale Chemii UAM. W tej chwili zajmujemy się badaniami utleniania układów modelowych białek przy użyciu technik spektroskopowych. Pozwala to zrozumieć mechanizmy, które bezpośrednio zachodzą wokół nas. Do utleniania używamy związków chemicznych, tzw. fotouczulaczy. W tej chwili bardziej intensywnie pracujemy nad oddziaływaniem tlenu singletowego. To taka ciekawa cząsteczka, bardzo reaktywna i też nie do końca zbadana. Nieskromnie powiem, że udało nam się uzyskać niezłe wyniki. To ostatnio gorący temat, mnóstwo osób chce z nami współpracować. Cóż... nie wszyscy muszą wymyślać innowacyjne materiały czy nowe techniki badawcze. Potrzebni są też tacy naukowcy, którzy potrafią przeprowadzić i prawidłowo zinterpretować wyniki pomiarów z użyciem zaawansowanych urządzeń, a potem objaśnić zachodzące procesy fizyko-chemiczne. Często chemicy zajmujący się rozwojem nowych materiałów nie mają wiedzy fotochemicznej, żeby móc ze zrozumieniem zmierzyć kluczowe właściwości. Dziś nauka to nie maraton pojedynczej osoby, ale gra zespołowa, w której praca każdego członka zespołu jest istotna.

Rozmawiała Magda Ziótek

Przepis na sukces

Spotykamy się w holu Collegium Maius. Pani profesor od razu uprzedza, że nie korzysta z windy i do swojego gabinetu na III piętrze idzie schodami, a lubi chodzić szybko, więc jeśli chcę, mogę wjechać windą. Nie zgadzam się. Trzy minuty później zjawiam się przed drzwiami ze sporą stratą czasu i zadyszką. Jasny jak nigdy wcześniej staje się dla mnie komentarz, który przeczytałam pod postem z informacją o zwycięstwie **prof. Karoliny Ruty-Korytowskiej** w mistrzostwach Polski w duathlonie: „Pani Profesor, studenci Pani nie dogonią...”.

Siadamy naprzeciwko siebie. Za nami, za oknem, rozpościera się panorama Poznania, na budynek Zamku padają promienie niskiego jesiennego słońca. Zadaję pierwsze pytanie. Prof. Ruta-Korytowska trzyma w ręku kubek termiczny, w powietrzu czuć intensywny aromat kawy. Jej dzień to organizacyjny majstersztyk. Zaplanowany minuta po minucie, z precyzją godną zegarmistrza. – Wstaję przed 7.00 i już wiem, co muszę zrobić o 7.05 tak, aby nie zburzył się plan o 15.00. Muszę mieć to wszystko poukładane – mówi, odgarniając gęste, brązowe włosy z twarzy.

Rygor jest potrzebny, by pomieścić w jednej dobie obowiązki matki, nauczycielki akademickiej, badaczki, naukowczynie i sportowczynie. Prof. Ruta-Korytowska nie boi się określenia „walka”. Bo każdy dzień to dla niej swoista walka o każdą minutę, ale też o maksymalną satysfakcję, pełną realizację.

Osiemnastego września tego roku, Karolina Ruta-Korytowska staje na linii startu w mistrzostwach Polski w duathlonie. Pogoda jest paskudna, od wczesnych godzin porannych pada deszcz... raz mocniej, raz łżej, ale pada. To nie napawa optymizmem i nie nastraja pozytywnie. Przecież do pokonania jest w sumie 80 km, w tym 60 na rowerze szosowym, z cieniutkimi oponami, w pozycji aerodynamicznej. Głowę nawiedzają znajome myśli. „Moje rywalki biegają szybciej, wcześniej już wygrywały na tym dystansie. Nie ma szans na wygraną...”

Nastolatka gubiąca kilogramy

– Zawsze byłam aktywna i to nie tylko sportowo, ale również społecznie – mówi, zakładając za uszy gęste włosy. – Ale w okresie dojrzewania wydawało mi się, że muszę zgubić kilka kilogramów. Zaczęłam biegać... to od biegania wszystko się zaczęło. Rowerem jeździła z początku rekreacyjnie, próbując jeszcze w międzyczasie kickboxingu czy wspinaczki wysoko-

górskiej. O dalszej drodze zdecydował los: gdy przechodziła przez przejście dla pieszych, potrafił ją samochód. Obrażenia twarzy i czaszki były na tyle poważne, że lekarz, który ją zobaczył po wypadku powiedział: z kickboxingiem trzeba będzie się pożegnać. Pozostało bieganie. Ale i tu Karolina Ruta-Korytowska zaczęła sięgać coraz dalej. I jak to ma w zwyczaju – biegła po swojemu, nie według standardowego schematu.

Bo zanim przebiegła maraton, wzięła udział w kilku ultramaratonach na dystansach od 55 do 110 kilometrów. Również tu może pochwalić się kilkoma zwycięstwami, wygrywając w kategorii kobiet. Niestety, pojawiła się kolejna kontuzja, tym razem kolana i znów trzeba było dokonać pewnych przewartościowań.

– Dokładnie nie pamiętam, jak zaczęła się moja przygoda z kolarstwem, ale od zawsze bardzo lubiłam jeździć rowerem. Dodatkowo poznałam bardzo fajnych ludzi. Oni mnie zachęcili, aby zająć się szosą bardziej wyczynowo. Moi rodzice byli przerażeni, bo każdy kolejny sport przynosił nowe ryzyko. Szosa też takim sportem jest. Ja – niestety – wtedy już wpadłam – śmieje się – Kupiłam rower szosowy i kolejną sportową miłość znalazłam w kolarstwie.

Potem, kiedy to jeszcze nie było takie modne, pojawił się triathlon i duathlon. Naturalnie przeszła od jednej dyscypliny do drugiej. Kiedy po urodzeniu synka w 2019 roku wracała do treningów, zdała sobie sprawę, że nie lubi i nie będzie pływać. Pozostał duathlon. I od dwóch lat to pod bieganie i kolarstwo podporządkowany jest jej dzień.

Mistrzostwa w Czempiniu

Udział w mistrzostwach Polski opóźnił się z powodu pandemii. Ostatecznie zawody odbyły się 18 września, w Czempiniu. Zawsze interesowało mnie, co dzieje się w głowie

sportowca w momencie, kiedy ciało daje pierwsze sygnały zmęczenia, a głowa odmawia współpracy; gdy kątem oka dostrzega się wyprzedzającego rywala. Pytam o to.

Prof. Ruta-Korytowska poprawia się na krześle, bierze w dłoń pastelowy termos i z namysłem popija kawę. – Straszna jesień była tego dnia, warunki do rywalizacji sportowej fatalne. W zawodach w Czempiniu zawodnik musi pokonać 10 km biegu, 60 km roweru i znów 10 km biegu. Wiadomo było, że etap kolarski będzie w deszczu, z silnym wiatrem, na mokrej nawierzchni. Sam moment startu nie był taki straszny, wiadomo, adrenalina, człowiek jakby był trochę z boku, zamknięty w sobie, nie do końca odbierający bodźce z zewnątrz, mocno skupiony na swoim zadaniu – wspomina.

Ale walka nie zaczyna się wraz z wystrzałem startera. Najtrudniejsze dla sportowca są problemy z motywacją do podejmowania czasami granicznego wysiłku, odbierającego dech w piersiach. Bo po co walczyć, skoro wiadomo, że rywalki trenują zawodowo, że już nie raz pokazały się jako lepsze zawodniczki? A jednocześnie na wyniki czekają trenerzy, rodzina..., więc powtarza im przed zawodami: „Nie szukajcie mnie w pierwszej trójce. Będę szczęśliwa, jeśli będę pierwsza w swojej kategorii”. I dopiero ta myśl potrafi uspokoić.

– Pierwszy bieg poszedł dobrze, na rower wsiadałam z optymizmem. Na rowerze czuje się mocna... ale znowu wiedziałam, z kim rywalizuję. Do tego fatalne warunki pogodowe.... Cały czas trzeba było pracować głową, by nie odpuścić, nie zwątpić i nie poddać się. Całą trasę rowerową powtarzałam sobie: oby ciebie nikt nie wyprzedził, oby ciebie nikt nie wyprzedził, a już w ogóle żadna dziewczyna. Aż w końcu, na drugiej pętli, to ja wyprzedziłam dwie dziewczyny. Moja motywacja gigantycznie wzrosła. Więc uczepiłam się nowej myśli: „tylko nie zaprzepaść tego”. Ten rower poszedł naprawdę dobrze – uzyskałam najlepszy czas wśród kobiet. To był sukces w tych warunkach. Do strefy zmian po etapie kolarskim wjechałam jako druga, chociaż z najlepszym czasem. Po kilku sekundach usłyszałam, jak konferansjer ogłosił, że trzecia dziewczyna jest w strefie zmian, zobaczymy, która wybiegnie z niej pierwsza. Wiedząc to starałam się wybiec jak najszybciej i... zapomniałam o kasku. A to grozi dyskwalifikacją. Biegnę, a tu ktoś krzyczy: „Zapomniałaś ściągnąć kask!”. Musiałam wrócić do miejsca, gdzie znajdował się mój depozyt. To mnie zdemotywoowało – opowiada.

Okazało się jednak, że prawdziwa walka z głową miała zacząć się w drugim biegu: „Po co ty to robisz?”, „Nie dasz rady...”, „Jeszcze jedno wzniesienie przed tobą”. Szukała w sobie motywacji, powodu, by dobiec do mety. Aż przypomniała sobie o rodzinie, która przyjechała jej kibicować. Musiała oszczędzić im tego stania w deszczu. Szybko skończyć wyścig. I skończyć go naprawdę dobrze. Dla siebie dobrze. Kilkanaście minut później prof. Karolina Ruta-Korytowska przekroczyła linię mety, zapewniając sobie złoty medal i tytuł mistrzyni Polski w swojej kategorii wiekowej i brązowy medal w kategorii open kobiet. Nigdy wcześniej nie czuła takiej satysfakcji.



FOT. ADRIAN WYKROTA

Z powrotem w Collegium Maius

Sport jest jedną z jej pasji – drugą jest praca naukowa i dydaktyczna. Wszystkie one doskonale się uzupełniają, choć prof. Ruta-Korytowska woli mówić o systemie naczyń połączonych: – U mnie samo się to połączyło – mówi. – Mam to szczęście, że pracuję na uniwersytecie, w miejscu, które sprzyja rozwijaniu pasji. Nie ukrywajmy, gdybym musiała przebywać za biurkiem 8 godzin dziennie, a potem wracać do domu, gdzie czekają na mnie kolejne obowiązki, to takich wyników w sporcie bym pewnie nie osiągnęła. Charakter mojej pracy pozwala mi tak zaplanować cały dzień, że jest w nim miejsce i na dydaktykę, i na pisanie artykułów naukowych, czy prowadzenie badań, jak również na rodzinę, dom i oczywiście sport. I fakt, moja doba jest wypełniona co do godziny. Jednych to przeraża, inni to podziwiają. Jestem szczęściarą i doceniam to! Cieszę się, że mogę pracować na uczelni, że wspiera mnie nie tylko rodzina. Może stąd te sukcesy... Może to właśnie jest przepis na sukces w moim wydaniu.

Magda Ziółek

Więcej na uniwersyteckie.pl 

Prof. UAM Karolina Ruta-Korytowska

związana jest z Zakładem Gramatyki Współczesnego Języka Polskiego i Onomastyki na Wydziale Filologii Polskiej i Klasycznej. W swoich badaniach naukowych skupia się na komunikacji osób niesłyszących, jak również na komunikacji urzędowej i prostej polszczyźnie.



W listopadzie miała miejsce 24. edycja Festiwalu Nauki i Sztuki. Mieszkańcy Wielkopolski w ciągu ośmiu festiwalowych dni mieli do wyboru ponad 400 zróżnicowanych naukowych wydarzeń. Festiwal, jak co roku, był dużym przedsięwzięciem. Szeroko dostępne wydarzenia przygotowało aż 1000 osób. Partnerami imprezy było 9 naukowych jednostek z Poznania: PPNT, UAM (koordynator), AWF, UAP, UPP, UEP, Oddział PAN w Poznaniu oraz Laboratorium Wyobraźni. Kolorowy abstrakcyjny obraz stworzyli organizatorzy Poznańskiego Festiwalu Nauki i Sztuki podczas inauguracji wydarzenia w Collegium Minus. Już teraz warto szykować pieniądze, bowiem dzieło będzie licytowane w czasie kolejnej Wielkiej Świątecznej Pomocy.